Fragmenty historyczne.

V.

Tomasz Żelazo.

Rok 1576 był pierwszym rokiem panowania żywo i radośnie przez rycerstwo witanego Węgrzyna, króla rycerskiego Stefana Batorego. Otwartością i stanowczością pozyskał serca rycerskiego narodu. Wiedziano, że nie ścierpi zuchwalstwa Gdańszczan. Sprawę ich załatwić postanowił król na Sejmie toruńskim, na który jednak dumni a bogaci patrycyusze nie przybyli. Król naznaczył im termin do złożenia przysięgi — rycerstwo już się gotowało do wojny, która niejednemu wawrzyny i dostatek, niejednemu sławę tylko i grób przyniosła w darze. Rojna gniazdowa szlachta mazowiecka przygotowywała zbroje do wojennej potrzeby.

Nie tak pan Tomasz Żelazo, z Sochaczewskiej ziemi pochodzący. Popadłszy w złe towarzystwo szlachcic ten herbu Róża czy też Jezierza, gdyż do obudwu tych herbów zaliczali się rozmaicie Żelazowie w Sochaczewskiem, szukał łatwego chleba w rozbijaniu bogatszych kupców po handlowych gościńcach w najrozmaitszych stronach Rzptej. Miał on na usługach rozmaitych Żydków, którzy mu dawali wiadomości o swych współwyznawcach handlem się parających, a że ci wielkie przebywali z towarami drogi i na dalsze z rodzinnych stron udawali się jarmarki, przeto i Żelazo ze

swoją służbą i pomocnikami musiał kręcić się w rozmaitych powiatach, a nawet województwach. Złupiwszy jakiego bogatszego kupca, zazwyczaj Żyda, udawał się do sąsiedniego miasta i w domach zajezdnych stawał jako podróżny i zamożny ziemianin, gdzie zbierał wiadomości o kupcach i jarmarkach i zasięgał od rozmaitych zbrodniarzy informacyi do przyszłych swych wypraw zbójeckich. Uchodziły mu one bezkarnie, jakkolwiek sprawki jego i imię głośnem się stawało na wschodzie i na zachodzie Rztej.

W lipcu tegoż roku rabował w Płockiem, zkąd przeniósł się z rzemiosłem w Łęczyckie. Zastąpił on, na drodze publicznej, ze wsi Sobotki do Łęczycy wiodącej, w gaju, naprzeciwko Potrzaskowa, drogę Izaakowi i Józefowi Feliksowi, kupcom z Poznania, uderzył na Izaaka, zadał mu wiele ran w głowę, jednę w twarz, z pistoletu ustrzelił mu rękę, a Józefowi jeszcze bardziej dogodził, albowiem nietylko że mu zabrał mieszek z 500 złotemi, ale tak go poranił, że kupiec, złożony prawie na śmiertelnej pościeli, nie mógł w grodzie łęczyckim ran swych okazać, a gdy woźny na wizyą doń przybył, okazano mu już trupa i mógł tylko stwierdzić, że z ran zadanych Jakób umarł. Toż i Feliksowi mało brakowało, a byłby zginął od ran, z ręki Żelaza pochodzących.

Żydzi wspomniani należeli do bogatszych i ruchliwszych kupców poznańskich. Dzieci zabitego Józefa: Feliks, Lampart, Abraham, Salome i Sara nietylko że dali znać sądowi grodzkiemu w Łęczycy i w Poznaniu o rozboju, ale też postarali się, że wiadomość poszła po całem Mazowszu i Wielkopolsce, z którego to widocznie powodu Żelazo, nie czując się bezpiecznym, przeniósł pole swej działalności na Małopolskę. Tutaj, na drodze z Lublina do Połańca, d. 14 sierpnia rozbił Salomona, kantora krakowskiego, a zarazem kupca, również Żyda, będąc poinformowany przez Józefa, Żyda z Pińska, zbrdniarza, który z więzienia uciekł, którą drogą i z czem kupiec krakowski wracał do domu. Żydzi jednak poznańscy i tutaj śledzili sprawek Żelaza, musiał przeto i z Małopolski uciekać w sierpniu do województwa ruskiego, chociaż kupiectwo tutaj nie tak bujnie kwitnęło, jak na zachodzie. Zaledwie rozpoczął tutaj rzemiosło, w ślad za nim gonili Żydzi i z Wielkiej i z Małopolski, nie dając mu nawet chwili do rozwinięcia działalności, na szkodę ich wyznawców głównie wymierzonej.

Jak zapobiegliwymi byli poszkodowani przez Żelaza kupcy, pokazuje się ztąd, że natychmiast skoro tylko Żelazo zjawił się

w Małopolsce. donieśli o tem królowi. Odgadnięto w rycerskim królu także i sprawiedliwego, nieznoszącego w państwie bezkarności sędziego, i w przeświadczeniu o tem donoszono do kancelaryi królewskiej o każdej sprawce. Z Warszawy, z Ciechanowca, z Kowalowa rozsyłał król mandaty do władz, aby ścigały zbrodniarza, a i na tych mandatach spoczywał duch rządnego, energicznego króla. Oto na przykład, co pisał do starosty krakowskiego: Dano znać, że niejaki Żelazo w Koronie siła Żydów i innych ludzi na dobrowolnych drogach rozbił, złupił i pomordował i co dalej, tem większe czyni zbrodnie, a żaden z urzędów, zwłaszcza starościńskich, pohamować ani karać tego nie chce, co z podziwieniem i z niełaską naszą do wiadomości przyjmujemy. Nakazujemy niniejszem. byś bez zwłoki i omieszkania tego i innych złoczyńców imał i jak należy ukarał, aby się źli kajali, a swawoleństwo aby się hamowało.

Jeszcze ostrzejszem w tonie nakazującym było orędzie, datowane z Ciechanowca d. 1 sierpnia do wojewodów. kasztelanów, starostów. w ogólności do wszystkich władz, stojących na czele województw, powiatów. miast, wsiów. Obciążliwą uczyniono przed nami żałobę — mówi król, — że Tomasz Żelazo takiego zuchwalstwa i swawoli się jał, że na wielu miejscach na pospolitych gościńcach zajeżdżając Żydów. jednych rozmaitymi fortelami i męczeniem do oddawania sobie czego chce przymusza. drugich gwałtem ze wszystkiego co mają obdziera, innych pobiwszy i pomordowawszy łupi. Teraz świeżo dwóch Żydów krakowskich na publicznej drodze zabił. wszystkie ich rzeczy zabrał, a innego Żyda na drodze z Warszawy do Płocka ze wszystkiego obdarł. Naostatek świeżo teraz zajechawszy Żydom drogę na gościńcu poznańskim, do Łęczycy na jarmark jadącym. jednego z nich zabił, drugi zaś na śmierć zarąbany leży. Ponieważ żaden z pp. starostów przyległych. słysząc o takowych mordach i gwałtach, prawie że nic nie chce o tem wiedzieć. a tem mniej zapobiegać albo z powinności urzędu swego zastawiać się, mimo że każdy przysięga przestrzegać wolności i bezpieczeństwa dróg publicznych. przeto pod utratą łaski mej nakazuję w tem przestrzegać statutu i praw koronnych i takich zbrodniarzy, jak Żelaza, łapać...

Mandaty, tak wyraźnie i surowo głoszone, nie pozostały bez skutku. Urzędnikom groziła utrata łaski królewskiej. Żydzi poznańscy pędzili w ślady zbrodniarza i już byli na jego tropach w województwie ruskiem. Zdarzyło się pod Jarosławiem, na dniu 12-go

sierpnia, że Żelazo z pomocnikami swymi napadł na chłopów i Żydów, z jarmarku jarosławskiego powracających, i pobrał im rozbojem mieszki, a złupiwszy, pobił i do domu nagnał, sam zaś udał się do Jarosławia. Poszkodowani w ślad poszli za napastnikiem i na skargę sławetnych Ambrożego Kryszkowskiego, Tomasza Palikija, poddanych ze wsi Tryneczy, Matfieja z Potylicza, Mateusza z Goryanki i Hanusula, Żyda poznańskiego, został Żelazo aresztowany i na zamku jarosławskim w wieży osadzony. W urzędzie wójtowskim jarosławskim zeznali poszkodowani sposobem protestacyi, że Żelazo napadł ich zbójeckim obyczajem na publicznej drodze, jednemu z nich Krzeszowskiemu wydarł 13 grzywien, Mateuszowi z Goryanki 70 zł., innym mniej, Mateuszowi z Potylicza zadał ciężką ranę w głowę, każdego zaś pobił. Hanusul, Żyd poznański, przy sposobności tej skargi powtórzył całe zeznanie Żydów poznańskich, zrabowanych i pobitych przez Żelaza, w łęczyckim grodzie uczynione z tem, że ponieśli oni szkodę na 700 zł. p. Wraz z Żelazem osadzono w więzieniu pomocnika jego i sługę. Pawła z Jarocina.

Oczywiście, że taka protestacya, mimo że zeznający ją ofiarowali się dowieść prawdy w niej zawartej i żądali wytoczenia śledztwa, nie wystarczała do uwięzienia szlachcica. Na zamku jednak był pan wojewoda sandomierski, Jan ze Stenberka Kostka, dobrze znający mandaty królewskie w sprawie Żelaza i on to przychylił się do prośby poszkodowanych i kazał Żelaza, którego przy pojmaniu pobito i raniono, wtrącić do zamkowego więzienia, dając równocześnie o pojmaniu znać królowi.

Wnet już król, bawiący podówczas w Kowlu, wiedział o aresztowaniu zbrodniarza i przesłał mandaty do wojewody, aby wydał Żelaza do grodu przemyskiego, a do starosty przemyskiego, Jana Herburta, aby przyjął do wieży zbrodniarza i w myśl prawa z nim postąpił. Król w mandacie swym do starosty kładzie nacisk, aby z karania tego zbrodniarza, który teraz świeżo niemało rozbojów uczynił, inni ludzie źli, co się rozboju jęli, przedsięwzięcia złego zaniechali... Żąda jednak król, aby starosta około występków i przewinienia najściślejsze w myśl prawa śledztwo uczynił, świadectwa i dowody spisać kazał i niczego nie opuścił, cobykolwiek jedno ku dobremu i dostatetecznemu wyjaśnieniu sprawy należało. Co wszystko spisawszy, pod pieczęcią grodzką każe król sobie odesłać, „a my — dodaje — bezwłocznie damy wskazówkę, jak postąpić należy“.

Otrzymawszy mandat królewski, nakazał wojewoda sandomierski urzędnikowi swemu jarosławskiemu, Sebastyanowi Rafałowiczowi, wydać Żelaza i sługę tegoż na ręce starosty przemyskiego lub tegoż zastępcy. Wnet już, pod koniec sierpnia, byli zbrodniowie dostawieni surogatorowi przemyskiemu, Aleksemu Krasickiemu. Ten, przesłuchawszy sprawę na żądanie wojewody i czyniąc zadość rozkazowi królewskiemu, przyjął przysłanych do urzędu przemyskiego. Nie chcąc jednak działać skwapliwie, wywiedziawszy się o występku najdostateczniej i protokół spisawszy, postanowił akta posłać do króla i oczekiwać nauki królewskiej, jak to sądownie w księgach zaprotokołować kazał.

Przesłuchanie odbywało się na kilku terminach, gdyż Żydzi, pilnując już Żelaza sprowadzali świadków i dostarczali aktów sądowych, dotyczących przeszłych rabunków Żelaza, jak z grodu łęczyckiego, krakowskiego, lubelskiego, co wszystko jednak szło, jak na owe czasy, niezmiernie pośpiesznie. Przyznać jednak trzeba, że i Żelazo w obronie swego gardła również energicznie pracował nad środkami ratunku, w którym to celu przedewszystkiem sprowadził do Przemyśla z Sochaczewskiego swoich braci, Stanisława i Mikołaja.

Świadectwa, zeznania, akty rozmaitych grodów obciążały Żelaza i wskazywały na jego zbrodnie. Sprowadzony z Krakowa Salomon, kantor, rozbity na drodze publicznej koło Osieka, powtarzał to samo, co zeznał w grodzie lubelskim, mianowicie, że Żelazo, przyłożywszy mu pistolet do piersi, zażądał pieniędzy i zrabował 110 zł. p. z mieszkiem, łańcuch srebrny wartości trzech grzywien i wszystkie ruchomości. Salomon zażądał, aby surogator przemyski postąpił z Żelazem i pomocnikami tegoż w myśl prawa. Taki sam wniosek stawiają i inni powodowie, rozbici pod Jarosławiem. Co do rozbitych pod Krakowem Żydów odczytano obciążające Żelaza zeznanie Józefa, Żyda z Pińska, który o srebra kościelne oskarżony, lat cztery siedział w więzieniu w Brześciu litewskim, a uciekłszy z więzienia, zetknął się z Żelazem w Krakowie. Tutaj wyszpiegował owego Marka Czecha, kupca krakowskiego, którego Żelazo zrabował i zabił, co stwierdzono w grodzie krakowskim przez zeznanie dwóch szlachty. Ów litewski Żyd zeznał i to, że gdy po morderstwie dokonanem upominał się u Żelaza o przyobiecaną trzecią część łupu, odprawił go Żelazo z niczem, gdyż — jak twierdził — przy zabitym nie było, jak tylko trzydzieście złotych, które już wydał.

Bardzo obciążającemi Żelaza były zeznania sługi jego, Pawła Łobeskiego, poddanego z Jarocina. Zeznawał on wobec sprowadzonych na zamek ławników przemyskich. Opowiadał, że od roku służy u Żelaza, że do rozboju pod Krakowem namówił Żelaza Józef, Żyd z Pińska, i ten też wyszpiegował wyjazd kupców krakowskich i dał znać Żelazowi, który wyprawę tę odbył z Lorencem, sługą Jordana. Paweł miał się z nimi zjechać, ale nie miał konia, toż tylko słyszał od Lorenca, że dwóch Żydów zabili, przy których było jakie 50 zł. Natomiast był Paweł obecnym przy rozboju pod Łęczycą. Rozbój rozpoczął sam Żelazo od tego, że począł gromić Józefa, Żyda, i innych, że wy mnię sławicie wszędy niedobrze, że z powodu was nie mogę nigdzie nawet w cudzej ziemi mieszkać. Przyznał się też Paweł, że tamże jednego Żyda z rusznicy postrzelił. Co do rozbicia kantora krakowskiego, dodawał w objaśnieniu Paweł, że Żelazo chciał tam jednego Żyda zabić, ale dla płaczu Żydówki i dziatek zlitował się i tylko 19 talarów, 5 zł., pas srebrny zabrał, a na koniec nakazał Żydom, aby go nie sławili i obmowom zapobiegali. Objaśniając rozbój, dokonany pod Jarosławiem, dodawał, że do tej sprawki namówił Żelaza sługa jego Janusz, Rac (t. j. Serb), i że Żelazo siedział na koniu, podczas gdy Janusz trzosy przerzynał. Podobnie objaśniał jakiś rabunek, pod Tryńczą dokonany.

Zeznania te, wobec ławników miejskich poczynione, były dobrowolne, bez użycia tortury uczynione, a co ważniejsza, Paweł je w oczy Żelazowi powtarzał i sam sądu prosił, aby mógł to wszystko, co dobrowolnie zeznał, do ócz Żelazowi wypowiedzieć i na pamięć przywieść. Do czego jednak wszystkiego Żelazo, pytany przez surogatora, nie przyznał się, to tylko zeznał, że za mostem w Jarosławiu, na gościńcu ku Lwowu, gdy Janusz Rac wyrwał pięć złotych jakiemuś człowiekowi, Żelazo, odebrawszy je u Raca, wrócił pieniądze właścicielowi. Następnie użyto tortur, a i tutaj Paweł wszystkie swe zeznania powtórzył. Posiedzenie zakończył surogator oświadczeniem, że przesłuchawszy skarg przeciwko szlachetnemu Tomaszowi Żelazowi i pomocnikom w Krakowie, Lublinie, Łęczycy i Jarosławiu uczynionych i dowodnie wykazanych, a tutaj w sprawę niniejszą wpisanych, pragnie jeszcze dostateczniej śledztwo w sprawach występkach i przewinieniach tego to Żelaza uczynić i królowi JMci posłać.

Zanim sprawozdanie to doszło do rąk królewskich, już król, wobec stwierdzonego w krakowskim grodzie zabójstwa dwóch Żydów przez Żelazę, mianowicie Marka Czecha i Abrahama, Żydów

krakowskich, powziął przekonanie o winie Żelaza. Toż będąc w Malborgu, wydał ztąd d. 12 września na ręce Żydów krakowskich, tutaj w sprawie swych pokrzywdzonych współwyznawców przybyłych, mandat do surogatora przemyskiego tej treści: Gdy Żelazo Żydów dwóch krakowskich Marka Czechow i Abrahama na drodze publicznej zamordował i zrabował z towarów i gotówki, a teraz oddany do więzienia z tego głównie powodu, że wielu kupców, na jarmark jarosławski jadących, pozbawił towarów, nie chcąc, żeby bezkarność złych ludzi w Koronie urastała, a raczej życząc, aby zbójcy, rozbójnicy i mężobójcy ostrością kar byli powściągani, nakazujemy Ci, abyś postąpił sobie z Żelaza i pomocnikami jego w myśl prawa i gardłem skarał.

Gdy Żydzi z mandatem królewskim pośpieszyli do Przemyśla, tutaj już Żelazowie, z Sochoczewskiego przybyli, obmyślili sposoby ratunku brata. Jednym z tych sposobów było uwiadomienie króla, iż szlachcic nie może być na proste oskarżenie Żydów skazany, lecz że musi mu być proces wytoczony, jako przeciwko szlachcicowi. Postarano się też, żeby zeznania sługi Żelaza, mianowicie Łobeskiego, sprzeczne były z zeznaniami innych świadków. W taki sposób chciano uratować bratu życie. Żydom, nastającym na szybkie wykonanie wyroku, grozili Żelazowie zemstą.

Malborski mandat przedłożyli Żydzi surogatorowi przemyskiemu z żądaniem, by w myśl tego postąpił, czego gdyby uczynić nie chciał, oni manifestują się wobec woźnego i dwóch szlachty z powodu działalności na ich szkodę i zapowiadają mu wytoczenie przeciwko niemu skargi w sądzie właściwym. Na to Krasicki odpowiedział, że mandatu z tego powodu nie wykonuje, ponieważ Żydzi go wbrew statutom i prawom koronnym uzyskali — a powtóre, że w tej sprawie Żelaza oczekuje informacyi od króla.

Na dworze króla, zkąd oczekiwał surogator informacyi, ścierały się dwa przeciwne wpływy, z jednej strony braci Żelazów, ratujących brata, z drugiej Żydów, pragnących, by Tomasz Żelazo zasłużoną poniósł karę i szukających tutaj ochrony przed zapowiedzianą zemstą braci i krewnych Żelazów, którzy zjechali do Przemyśla ratować brata i herbownika.

W połowie października Stanisław Żelazo przywiózł od króla do Przemyśla różdżkę nadziei. Był to mandat królewski, datowany d. 29 września z Grebin, do starosty przemyskiego. Król, dowiedziawszy się od niektórych senatorów, że rozbójnik Żydów, szlachetny Żelazo, od nich oskarżony, pojmany został, proszony

przez kilku senatorów, by nie na proste oskarżenie Żydów z obżałowanym postąpiono, lecz by na właściwej drodze prawa proces mu, jako przeciwko szlachcicowi, wytoczono, przychylając się do tego wstawiennictwa, nakazuje, aby nie na jakieś oskarżenia z zemsty rzucane, ale w sposób, jak tego wymaga prawo pisane, za złożeniem dowodów w tej sprawie postępowano. Mandat taki był niezawodnie silnem poparciem Tomasza Żelaza, co prawda osłabionym przez inny mandat, tegoż dnia również przez kancelaryę królewską wydanym na rzecz Żydów przemyskich i innych, którym Żelazowie, jako prześladowcom brata, pogrozili zemstą. Mandat ten imieniem królewskim, pod adresem starosty przemyskiego wydany, opiewał: Ponieważ bracia ś c i ę t e g o za mordy Żelaza, grożą Żydom zemstą, król nie chcąc, aby z tego powodu jakikolwiek Izraelita popadał w niebezpieczeństwo życia, nakazuje, aby każdy obywatel jakiegokolwiek stanu i zajęcia żył bezpiecznie w Koronie i by wszyscy Żydzi, poddani jego, byli bronieni od zemsty ze strony braci i krewnych Żelaza.

Podczas gdy rozkaz ten proklamowano w Przemyślu, przychodzi przed sąd grodzki Stanisław Żelazo z Woli Sochaczewskiej i imieniem brata Tomasza wobec woźnego i dwóch szlachty zakłada protest przeciwko surogatorowi Aleksemu Krasickiemu, że tenże, nie zważając na mandat królewski, nakazujący, aby z Tomaszem Żelazem wedle statutu postąpiono w sprawie rzekomego rozboju i zabicia Żydów, wbrew temu mandatowi działa na wielką szkodę Tomasza, pragnącego, by według statutu z nim postępowano.

Surogator na to również protestem odpowiedział, że są dwa mandaty w tej sprawie i że w myśl dawniej otrzymanego pierwszego mandatu postępuje i nakazane śledztwo ściśle przeprowadza, z wyniku królowi sprawę zdaje i oczekuje informacyi króla, według której też postąpi z Tomaszem Żelazą.

Tak stanęła rzecz we wrześniu tegoż 1576 r. Izba i akta sądowe stały jeszcze otwarte dla niekończącej się sprawy. Żelazowie broniąc brata, wystąpili ze skargą przeciwko Żydom przemyskim i d. 22 września w towarzystwie woźnego i dwóch szlachty, zawsze ściśle według prawa protestowali się przeciwko Markowi Staremu, Moszkowi Chudemu, Markowi Białemu i Jakóbowi Gersznie, że ci gwałtownie zbrojną ręką z pomocnikami swymi, których oni imiona i przezwiska znają w Jarosławiu, w obecności wielu ludzi, naszedłszy na gospodę Tomasza Żelaza, brata ich rodzonego, z którym

nie mieli żadnej zmowy ani odpowiedzi, ani też wziąwszy z sobą urzędnika, ani też nie mając mandatów króla, nie zastawszy go na złym uczynku, ani też nie zwyciężywszy go prawem, a tylko uporem i z zawaśnienia nań się oburzywszy, tego Żelaza jako człowieka nic niewinnego w państwie spokojnem spokojnego zranili, także i sługę jego Pawła Łobeskiego poranili. Następnie pobrali gwałtem rzeczy własne Żelaza i na swój pożytek obrócili, poczem samego i sługę wspomnianego na zamek wydali. Zabrali mu prócz innych wielu rzeczy pięć koni pocztowych, deliją szkarłatną, dwie szable w srebro oprawne i nie podawszy tych i innych rzeczy na zamek przemyski, na swój pożytek obrócili.

Woźny równocześnie zeznał, że oglądał w więzieniu rany, zadane Żelazowi, dwie na głowie, jednę na łokciu prawym, a dwie na prawem biodrze.

Był to wymowny protest przeciwko obrażonej przez Żydów a pominiętej przez króla zasadzie prawnej: *Neminem captivabimus nisi iure victum.* Przypuszczać należy, że Stanisław Żelazo protest podobny złożył w Grebin przed senatorami i królem i tem spowodował mandat prowadzenia procesu ściśle według wymogów prawa.

Środki prawne ratowania Żelaza nie były tym nakazem wyczerpane. Zaraz nazajutrz woźny, opatrzny Marcin Socha, z dwoma szlachtą zeznał przed urzędem grodzkim, że dnia wczorajszego był obecny przy tem, gdy surogator przemyski za instygacyą niewiernych Anusula z Poznania i Marka, syna niegdy Michała z Przemyśla, przy bytności wójta i ławników przemyskich pytał dobrowolnie Pawła Łobeskiego, sługę Tomasza Żelaza, czy się przyznaje do występków i winy, które przed tem dobrowolnie przed tymże surogatorem i ławą miejską zeznał a potem i na męce wyznał. — Szło tu głównie o wyjaśnienie rabunku, pod Jarosławiem dokonanego. — Który to Łobeski, ciągnie dalej woźny, nie wiedzieć za czyją doradą i namową do tego, co dobrowolnie jako pierwej przyznał, znać się nie chciał. Wszakoż potem, będąc wedla prawa pospolitego i zwyczaju starodawnego na mękę podany, w której żadnego bezprawia nie cierpiał, i po męce do tych wszystkich występków, przewinienia i spraw, które wespół z przerzeczonym Tomaszem Żelazem czynił, dobrowolnie się przyznał. Za którem tedy dobrowolnem wyznaniem jego urząd niniejszy grodzki przemyski tego Pawła Łobeskiego odesłał do wójta miasta Przemyśla i przysiężników jego, aby dekretem swym wedla praw i za-

chowania starodawnego wynaleźli, jakie zasłużył karanie za te występki, do których się przyznał. [1])

To ponowne badanie Łobeskiego, przywiedzionego przed urząd wójtowski przemyski, przechowane jest w drugiem zeznaniu tegoż woźnego Sochy. Oto brat Tomasza Żelaza, Stanisław, prosił o wpisanie do ksiąg grodu przemyskiego zeznanie tegoż woźnego tej treści: Gdy był przywiedziony przez kata z zamku przemyskiego na ratusz przemyski Paweł Łobeski, sługa Tomasza Żelaza, był on tam pytany według obżałowania Żyda z Poznania o zabicie tegoż syna. Na pytanie, czy się przyznaje do zabicia zięcia tego Żyda i do innych rozbojów, o które go obwiniają Żydzi, oświadczył Paweł przy zdrowym rozumie w ten sposób: Jako jest obwinion za potwarzą żydowską mój pan Tomasz Żelazo i ja z nim, jakobyśmy mieli wielu Żydów pobić, pomordować na publicznych drogach i gościńcach i wiele pieniędzy pobrać, tedy się dla Boga do żadnej rzeczy nie przyznawam, a pan mój Żelazo tego nie jest winien, w czem jest obwinion ze mną. Wprawdzie na mnie tego dowodzą i tem chcą mię pokonać, iżem na mękach wyznał sam na się i na swego pana, jakobyśmy mieli z sobą społem Żydów rozbijać. Cokolwiek jednak wyznałem, tom przecież na mękach wyznał i jeśli mię jeszcze więcej męczyć będą a powiadałbych co, tedy w mękach będąc, będę musiał przyznawać, o co się przed wami świadczę.

Gdy wpisano to zeznanie do ksiąg, zabrał głos Stanisław Żelazo i założył przy woźnym protest, że ława miejska pokrzywdziła i działała na szkodę sługi brata Tomasza, Pawła Łobeskiego, i że z tego powodu brat jego Tomasz lub ta osoba, której będzie na tem zależało, pociągnie do odpowiedzialności winnych w sądzie należytym.

Wówczas wójt przemyski z ławicą przysiężnych, bacząc, że Paweł Łobeski nie przyznaje się do winy, odesłał go znowu do urzędu grodzkiego przemyskiego.

Wypływa ztąd, że nawet ława miejska nie chciała na się wziąć odpowiedzialności za wymiar kary na posądzonym o rozbój, który jednak wszystkie zeznania, jako wymuszone na nim torturą, odwołał — i odesłała obwinionego napowrót do grodu. A gdy ława miejska wzbraniała się przyjąć odpowiedzialności za głowę

---

[1]) Zeznania te mieszczą się na str. 774, 775 ksiąg Rel. gr. przemyskiego, w tomie 292, w którym zresztą wszystkie akta procesowe, dotyczące Żelaza są wpisane.

Łobeskiego, nie będącego nawet szlachcicem, nie dziwna, że pan surogator, Aleksy Krasicki, znający dobrze przepisy prawa, nie kwapił się z ucięciem głowy Tomaszowi Żelazowi. który był szlachcicem. do winy się nie przyznał, a miał tak ważne świadectwo odwodowe, jakiem było zeznanie Łobeskiego. Skoro nadto zważymy. że w całej tej sprawie Żelaza wykroczono przeciwko zasadzie *neminem captivabimus,* pojmiemy łatwo cierpliwość surogatora w wyczekiwaniu nauki od króla, któremu — jak to z jego ostatnich mandatów wypływa — przedstawiono, że Tomaszowi ucięto już głowę. Czy jednak taką powtórną informacyę co do wymierzenia kary szyi Żelazowi surogator otrzymał od króla, na to pytanie nie dają akta odpowiedzi.

To pewna, że gdy protestacye powyższe wnoszono do ksiąg grodu przemyskiego, król Stefan na Sejmie toruńskim stanowczo wystąpił przeciwko skrajnym dążeniom szlachty. Nie chciał bowiem potwierdzić sądów prowincyonalnych, owego najwyższego sądownictwa, które każde województwo odrębnie dla siebie uchwaliło, a przez których zatwierdzenie jedność prawa i wymiaru sprawiedliwości byłaby bardzo ucierpiała. Gdy posłowie oświadczyli, że i tak będą stać przy swojem sądownictwie. Stefan odrzekł na to, że jest królem z wolnego wyboru narodu, przez biskupa ukoronowany, a nie urojony ani malowany król. Bądźcie stróżami swych wolności, ale takimi, aby wolność nie stała się nadużyciem. Stefan na swojem postawił i doprowadził do jednolitego trybunału w całem królestwie. Wobec takiej stanowczości, wobec takich dążeń nie ulegało wątpieniu, że byłby powtórzył mandat ostatni, gdyby mu sprawę Żelaza przypomniano. którą on uważał za załatwioną w myśl swego rozkazu. Wiele spraw w Rzptej kończyło się w drodze pozasądowej ugody stron. Prawdopodobnie rodzina Żelaza ugodziła się z poszkodowanymi Żydami i ci nie wnosili już dalszych skarg — dlaczego też w aktach grodu przemyskiego ich niema. Żelazo zresztą był skompromitowanym przez Żydów w całej Rzptej, a także tak ukaranym za swawolę i rozbój, że gdy dostał się na wolność — resztę życia poświęcił chyba restytucyi swej sławy, swego imienia. które wielce splamił zbrodniczą przeszłością. Może pod innem nazwiskiem zasłynął w bojach Stefanowych, tego króla wojownika, który w ryzach utrzymywał szlachtę, ale dla jej bitności, otwartości, zalet duszy i serca wysoko ją cenił, a pozyskawszy jej miłość tak wielkich dzieł z pomocą jej dokonał.

Rzpta, jako dobra matka, dawała swawolnym synom, takim nawet, którzy ciężko wobec niej zawinili, sposobność do naprawy winy wielkiemi przysługami dla społeczeństwa, na którego szkodę działali, a wtedy dopiero przywracała im na sejmach sławę, dawniejszem złem życiem splamioną.

Antoni Prochaska.

Mieczysław Romanowski.

(ZARYS KRYTYCZNY.)

(Na podstawie źródeł rękopiśmiennych.)

I.

Mickiewiczowskie określenie najwybitniejszego pierwiastka literatury polskiej, streszczające się w słowach niewielu: twórczość nasza „wzrosła, wybujała i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem Ojczyzny“ — nie potrzebuje uzasadnienia dłuższego i argumentów wymowniejszych od tych, które po za całymi trzema z górą wiekami objawiły się w latach rozwoju romantyzmu. Idea narodowa, występująca poprzednio we wszystkich niemal utworach, wiążąca je w całość nierozerwalną — chociaż charakter jej był różny pozornie: bo raz przepowiedni hiobowych Skargi, raz znów cichej pracy odbudowy społeczeństwa, zawartej w dziełach Kołłątaja i Czackiego — po rozbiorach dopiero przeszła w czucie samowiedzy całej społeczności i jej wyrazicieli — poetów. Podczas gdy za czasów wolnej Rzeczypospolitej idee narodowe miały ujście w życiu narodu, gdy oznaką ich żywotności było to życie samo w sobie i obrona interesów jego, jako państwa na zewnątrz, — to z chwilą ostatniego rozbioru, z chwilą, gdy wyzuto nas z tej głównej podstawy rozwoju społeczeństw żyjących, terytoryum państwowego — została nam obrona własności ducha, strzeżenia uczuć narodowych, jako jedynego skarbu i oznaki istnienia naszego.

Rozdzieleni kordonami, rozbici, pozbawieni praw należnych. niedopuszczeni nigdzie do dania zbiorowego wyrazu własnych dążeń i odsunięci od jakichkolwiek stanowczych zamierzeń w życiu politycznem — zostaliśmy skazani na pielęgnowanie i rozwój odrębności plemiennej i kulturalnej w literaturze. Do niej to teraz musiał zwrócić się naród, w niej szukać i mownicy sejmowej. i uniwersałów królewskich, not dyplomatycznych i listów poselskich, słowem. szukać życia. sprawdzianu, że ze śmiercią pozorną Polski państwowej — nie skończyło się istnienie Polski, jako narodu. Uświadomienie to było konieczne i nastąpić musiało. Nie poszło ono wprawdzie w kierunku literatury i pism politycznych. które utraciły swój walor. ale zadrgało rozgłośniejszą nutą narodowej pieśni. Z klasycyzmem, który w Polsce upadającej doszukiwał się z lubością Troi ginącej, z tym zimnym klasycyzmem. który próbom powstańczym po rozbiorach nie wtórował żadną podniośléjszą pieśnią — a ledwo z pieśnią legionów zdołał pofrunąć w ślad orłów złotych i mimo wszystko tej żywej poezyi wojowników nie dorównał w słowie twórczem, — z tym, powtarzam, klasycyzmem, co nie rozhartował żelaznej obroży formy nawet wówczas, gdy miał sławić czyny takiego bohatera. jak ks. Józef Poniatowski, — skończył się ten ból ogólny, który do słowa przyjść nie dał nikomu i na pogrobnym kamieniu Ojczyzny niczego nie zostawił. żadnego napisu, prócz smugi krwi młodzieży. zwiedzionej obietnicami wielkiego cesarza i złamanego oręża.

Ocknęło się serce...

Lata niedoli, lata łez przeszły, ale nie bez śladu. Tam w dali zostały gruzy gmachu o wielkiej budowie, zostały marzenia o wielkości terytoryalnej, a w teraźniejszości była ta furtka, co jeno wspomnieniem niedawnem legionów polskich i ich walecznych bojów zapełnić się mogła. A wspomnienie wątek swój miało i snuło z serca. Tam była Polska żywa, więcej może teraz miłowana — jako że utraconą syny opłakiwały — Polska idei. Ku niej uczucia się zwróciły samą siłą faktu i wypadków politycznych. ku niej biegła każda myśl żywsza, każdy wysiłek działania. Już r. 1812 był tem ofiarnem poświęceniem. wypływającem nie z rozważań zimnych dyplomatów. Wszak cały trud i mozół wojenny podtrzymywany był wiarą we wspaniałomyślność Napoleona. I nic więcej, tylko wiara...

Skoro ona zawiodła. zostawała jedynie zemsta, ale nie ta, która szuka odwetu, zapłacenia z procentem długu krwi i niedoli. Uczucie zemsty było zupełnie odruchowem dążeniem narodu, co

czuł siły swe wewnętrzne i skłonność do zamiłowanej wolności. W tem uczuciu też szukać nam wypada pierwszego, choć nieuświadomionego jeszcze łaknienia czynu-idei, który wcielony jako taki w powstanie r. 1831, okazał, że zemsta-wallenrodyzm, a więc uczucie, jako promotor działania, jest niewystarczające.

Nietylko tak było w życiu narodowem, ale i w twórczości literackiej, jako przejawiającej wyłącznie bieg i wartościowanie wszystkich społecznych odruchów. Ztąd najwyższy szczyt tej myśli z okresu przed powstaniem r. 1831: „Konrad Wallenrod", przejdzie w drugi etap pojęcia czynu: Improwizacyi Konrada. Najgenialniejszy przedstawiciel romantyzmu wierzył teraz, że nie uczucie, ale wola może i jest w stanie wszystkiego dokonać, może „sto gwiazd zgasić, a drugie sto wzniecić". Cóż znaczy wobec tego ów czyn w pojmowaniu ziemskiem, owo działanie, do którego tylko woli trzeba? Nic. Bo skoro sam poeta wyzywa Boga na walkę, a dodaje, że „ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony. Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan". — to ta chęć uświadomiona nie w jednostce, ale w „wielkim ludzie", zrodzi, musi zrodzić czyn wielki. — Jest atoli w tem ów zasadniczy ton romantyzmu, jest to, czemu zaprzeczyli sami później romantycy, że „pieśń to wielka — pieśń tworzenie". Inaczej mówiąc, poezya miała tworzyć realny fakt, zrąb przyszłości.

I to są dwa pierwsze okresy twórczości romantycznej (w wyodrębnieniu idei narodowej, łączącej się niemal wyłącznie z ideą działania): pierwszy uczucia (zemsty), drugi woli. Od tego był krok jeden tylko do samego czynu. Lecz pozorną bliskość ta była, albowiem oba okresy, tu wzmiankowane, obracały się w sferze poezyi, trzeci zaś przechodził już w rzeczywistość. I do tego kiedyś dojść miało. Zanim jednak porzucimy poezyę, zwróćmy uwagę na drugą jej cechę, łączącą się z ideą narodową. To reagowanie na życie polityczne. Więc w pierwszym okresie nie mógł być innym ton poetycki, jak patryotycznego uczucia. Pieśń zrodzona w przededniu nocy listopadowej, jest tego dowodem.

Po rozbiciu, jakiemu ulegliśmy w r. 1831, jest zmiana tej nuty naczelnej na nutę patryotycznego bólu. Znaczy się ona wszędzie: w „Dziadach" i „Irydionie", jeszcze w r. 1838 we wstępie do Dantyszka dał jej wyraz Słowacki. I jak pierwsza idealizowała środki działania, zemstę uważając za broń godną sprawy, tak znów druga hartowała wolę i doprowadziła ją do tej granicy, że poeci uznali za posłannictwo narodu nie mieć poezyi godnej

życia, ale życie godne poezyi. Czyn poetycki a poezya czynu stały się przedmiotem walki wewnętrznej tych, którzy pragnęli nietylko być ofiarnikami swego ludu, ale i zniczem Ojczyzny.

Nie idziemy krok w krok za śladem wielkich twórców — łączymy tylko kulminacyjne punkty dróg ich ducha. Bo nie o psychologiczną stronę ich łamań nam idzie, ale o szlaki poezyi, które oni jej wytyczyli. To też nie podajemy tu powodów przemian duchowych Mickiewicza, między r. 1831 a 1842, ograniczając się jedynie do zaznaczenia faktu, że pojęcie egoistyczne twórcy, uderzającego skrzydłem natchnienia o strop nieba i ziemię, którego wyrazem była improwizacya — uległo zmianie na korzyść zbiorowości. Filozofia czynu — jeśli wolno się tak wyrazić — idea sama sprawy polskiej, odrodzonej przez czyn, nabrała dla Mickiewicza znaczenia nie jako dla poety-twórcy, ale społecznika. Pojął on, że rok 1831 miał przed sobą poezyę i zostawił ją po sobie, sam zaś jako taki, jako działanie nie miał tej siły, jaką pieśń miała. Czyli, że poezya przerastała życie. Idąc dalej w tym kierunku, nie widział rozwoju idei narodowej w żywym organizmie społeczeństwa, a natomiast zbytek jej w poezyi. Więc nie zawahał się napisać do Al. Chodźki (1842 r.): „Po co poezya? Czyż to poezya ma być w książkach, a w nas ma zostać proza, mamyż jak posąg Memnona głos wydawać o wschodzie, nie wiedzieć dlaczego, kiedyśmy martwi i nieruchomi? Mamyż obmalować życie dziełami pięknemi zewnątrz, a wewnątrz być grobami, pełnymi kości spróchniałych? Czas, bracie, zrobić poezyę! Tem tylko zwyciężymy wszystkich poetów, a o ile zrobim, o tyle tylko zdołamy zaśpiewać.“

Poezyi wypowiedziano walkę — nie dlatego, jakoby walczyć trzeba było z jej dążeniem, kierunkiem, — ale z tego powodu, że spełniła już ona zadanie swoje, budząc uczucie i wzmacniając wolę. Działanie i poezya w tym wypadku wykluczają się, a przynajmniej druga nie może iść przed pierwszem w szrankach nie twórczości, co w pieśń przelewa natchnień porywy, ale w rzeczywistości, z którą zetknąć się musi, jeśli idzie o ideę krystalizującą się w ruch mas, mający dla nas znaczenie doniosłej wagi, mianowicie rozwiązanie bytu i egzystencyi.

Trzeci okres romantyzmu jest tem podkreślaniem ciągle granicy między życiem poezyi a życiem społecznem, pojęciem czynu i jego ideologii — a samym czynem, jako faktem. — Mickiewicz zaniechał twórczości i tem zaświadczył, że nie pisał frazesów w powyż cytowanym liście, — Krasiński w kilka lat później po-

wtórzył za nim te słowa, zbliżył się do pojęć tych samych w odniesieniu do czynu i zadań poezyi.

Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne —
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję!
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje.

A potem, jakby finał tego patryotycznego bólu, o którym wyżej mówiliśmy:

Dość już długo, — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal,
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal!

Dwie organizacye psychiczne, Mickiewicz i Krasiński, choć w rozumieniu samem czynu nie różnili się — to mimo to inne obrali drogi do wprowadzenia go w życie. Pierwszy działał i tem pokazywał, jak ideał myśli twórczej z przed laty zamieniać należy na fakt realny, konkretny. Drugi nawoływał do działania, poezyę chciał jego heroldem uczynić. Nie identyfikował jednakowoż Krasiński poezyi z samym czynem, nie uważał jej za spełnianie roli, mającej dla narodu wartość samą w sobie. To była pieśń o czynie. W tem niższość Krasińskiego od Mickiewicza, jeśli przyjmiemy owe trzy fazy rozwoju za coraz to wyższe doskonalenie myśli narodowej, uświadomionej w pracy i trudzie społecznym poezyi i jej twórców. Mówiąc to, nie przesądzamy kwestyi, którego z nich zapatrywania były trafniejsze ze względu na chwilę dziejową. Rozstrzygnął to r. 1848. Mickiewicz uważał ówczesne prądy za spełnienie się w życiu narodów ewangelii, która „staje się prawem politycznem, społecznem polskiem“. Legion, przezeń utworzony, miał dać oczywisty dowód czynu-ofiary, złożonego w ręku Polaków dla pomocy „każdemu chrześcijańskiemu narodowi uciśniętemu“.

Towianizm, przepuszczony przez pryzmat filozofii własnej Mickiewicza, brał górę. — Nie szło teraz twórcy legionu o samo działanie, ale o spełnienie ofiary tak, jak spełnił ją na sobie, wyrzekając się osobowości swojej i swego *ja* w poezyi.

Krasiński uznawał, że nie tak czyn się miał objawić. Według niego: „byleby naród w mierze i zacności dotrwał, byleby zemsty nie przeniósł nad żywot, byleby ostatecznie nie

dał się uwieść żądzą tylko szkodzenia wrogom, tylko rozsadzania Europy, która go opuściła i ręki nigdy nie podała... Supernaturalnej cnoty, nie naturalnych chuci potrzeba, by odżyć" (list do Trentowskiego z d. 25 lipca 1848 r.).

Tu kres rozwoju pojęcia czynu, idei jego — wcielen w romantyzmie i u romantyków. Wzięliśmy do ilustrowania wywodów naszych Mickiewicza i Krasińskiego, jako poetów-społeczników, o pewnym i wyrobionym sądzie politycznym, pominęliśmy zaś wszystko inne, jako ich odbicie, mniejsze lub większe odchylenie od nich. Nie szło nam bowiem o twórców, którzy dążyli w tym kierunku, ale o wytyczenie linii dla tej myśli, co powrotną później falą wróciła przed wybuchem powstania styczniowego.

Nie frazes to — owa powrotna fala, bo jeśli weźmiemy pod rozwagę tę krystalizacyę pojęcia działania od pierwszych zawiązków: uczucia, woli i dojście wreszcie do czynu Mickiewiczowskiego, jeśli dodamy, że pierwszemu myślą przewodnią zemsta była, drugiej oddziaływanie na życie przez poezyę, a trzeciemu to wystąpienie, które stworzyło Legiony, a w końcu na Wschód wygnało twórcę „Pana Tadeusza", — to na poezyi między rokiem 1858 a 1863 da się wykazać, że społeczeństwo, a wraz z niem i cała twórczość przechodziła na nowo te trzy fazy, które zaznaczyliśmy w postępach romantyzmu. Czyli, że poezya przedpowstaniowa nie kontynuowała dalej myśli romantycznej, a ledwo ją przeżywała w miniaturze, nie dając nic nowego, po za kopią wielkich wzorów. Naturalnie pomijamy przy tem twierdzeniu całą część okolicznościową poezyi powstania 1863 r., owo przelewanie w rymowane słowo wypadków chwili.

Sąd ten niechaj poprą przykłady, niechaj twórcy tej doby sami mówią za siebie.

Idea zemsty-odwetu ożyła, jak przed powstaniem 1831 r., tylko silniejsza była, niż dawniej, bardziej w sercach zakorzeniona. Powodów tego nie szukać dalej, jak w tym patryotycznym bólu, który trwał ciągle i nie malał, jeno się zwiększał, bo represye rossyjskie, zsyłki na Sybir i poniewieranie praw nie już państwowych, ale czysto ludzkich, było na porządku dziennym. Wyrazem tego w poezyi „Pieśń zemsty" K. Ujejskiego:

Razem głosy, dłonie razem,
A nie próżne dłonie,
A ty zahucz nam na ucztę
Sycylijski dzwonie!

Już od dawna chytry wróg
Krwią frymarczy Laszą,
Naszą krzywdę święcąc Bóg,
Święci zemstę naszą.
Póki starczy w żyłach krwi, póki w piersiach tchu,
Zemsta mu!

I nie jeden Ujejski w ten ton uderza. Kryje się on w przeważnej liczbie utworów, powstałych w pierwszych latach szóstego dziesiątka ubiegłego stulecia. A kiedy szło o wyrażenie ogólnego usposobienia, śpiewał poeta (ze zbioru „Pieśni powstańcze z r. 1863“ Celiny z Orelca):

Zgasły dla nas nadziei promienie,
Zanim zorza zaświeci nam blada,
Stańmy jako upiorów gromada,
We krwi wrogów nasyćmy pragnienie.
. . . .
Cóż my winni, że kochać nie możem?
Gdy się wszystko tak płaszczy i karli,
My dla ziemskich rozkoszy umarli,
Żyjmy zemstą i święćmy ją nożem.

A więc znów zemsta, jej uczucie występuje jako pierwszy zawiązek czynu. Najprymitywniejszy to początek krystalizowania idei. Zmienił się on niebawem, a raczej przybrał charakter uczucia wyższego, o nastroju religijnym, był apostrofą, wyrzuconą z piersi zbolałej do niebios. Nie było w tej poezyi siły natchnienia równej improwizacyi Konrada, brakło odwagi wzywania Boga na zapasy. — Długa niewola odebrała sercu tę dawną hardość — nie złamała jednak bynajmniej siły woli. I kiedy pierwej wola ta przeciwstawiała się wszystkiemu i wszystkim — dziś miała ona spłynąć po promieniu łaski na uciemiężone syny. Ztąd to ów ton modlitewny w „Bogarodzicy“ Ujejskiego, poezyach A. J. Ostoi, Żmichowskiej i tych bezimiennych w „Wiadomościach z kraju“, „Dzienniku literackim“ etc. W każdym razie widoczny tu jest zwrot ten sam, który podkreślilismy u romantyków. Zwrot od niższego uczucia zemsty do działania świadomego, kierującego się wolą wytrwania i wolą walki. Teraz jeno ta była różnica, że z Bogiem, a nie „mimo Boga“ miano przysposabiać ruch wszelki. Z powiedzenia „Polska Chrystusem narodów“ dochodzono do przeświadczenia, że znów synowie tej Polski są synami Kościoła Chrystusowego, więc w imię Krzyża i Polski iść należy. Inaczej mówiąc, obok patryotycznego kierunku poezyi, obok formowania pojęć czysto ideologii narodowej, wzmógł się także pierwiastek religijny.

I kto wie, jakiemi drogami byłby poszedł tok myśli poetów szóstego dziesiątka ubiegłego stulecia, jakie stanowisko zajęliby, gdyby się znależli w tem położeniu, co Krasiński i Mickiewicz w r. 1848. — Przesądzenie sprawy trudne byłoby nam, ludziom dzisiejszym. To tylko pewna, że gdyby nie wypadki lutowe 1861 r., nie byłaby poezya weszła na tory zdecydowanej agitacyi orężnego czynu, nie byłaby rozpalała opinii publicznej tak bardzo, jak to czyniła rozgrzebywaniem ran najświeższych, opisywaniem „dni mordu i trwogi". — Historya, a raczej zbieg okoliczności formalnych, przędziwo myśli poetyckiej zmieniły na rymowany alarm — że tak powiemy. Poezya stała się okolicznościową, dostosowaną do chwili, — słychać w niej tylko było grzmiące „memento" dla wrogów. — Wypadki dziejowe żywcem całą myśl poetycką przeniosły w życie, a rozgorzałe serca ogółu wchłonęły ją bez krytycyzmu niemal żadnego. Ogół począł myśleć o walce, nie oglądając się na poetów, — ogół, nie przygotowany do tego ani moralnie, ani materyalnie. Poezya nie mogła już niczego dopowiedzieć... Czynem zajęły się masy. Pieśń, zepchnięta z dawnego stanowiska herolda, przemieniła się w refleks rzeczywistości. Grała „Pobudkę" (Pol), ogłaszała „Dzień swobody" (A. Żmienkowski), leciała w dal z „Piosnką ułana" (K. Świdziński); wreszcie sama przyszła do przekonania, że:

Kuli świstem, szabli brzękiem
N i e z a ś p i e ś n i ą ani jękiem
Czas już wskrzesić kraj!
P i e ś ń j e d y n i e d r a ż n i d u c h a,
Ale z czynu, czyn wybucha —
Więc mi w czyny graj.

I w odmęcie walki krwawej, partyzanckiej, w łunach pożarów, w zgliszczach i popiołach utonął kraj cały, a ideę wszelką, która na bój ostatni wiodła gartkę młodzianków, zgłuszył huk strzałów i świst knuta rossyjskiego. Taki był epilog dzieła, wszczętego przez poezyę, a wprowadzonego nieopatrznie w życie, — tak konała najwznioślejsza myśl romantyzmu.

Stanisław Lam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Jeśli idzie o kult dla twórcy Beniowskiego, to żywił go w niemniejszej mierze i Stanisław Wyspiański, z tą różnicą jedynie, że tragiczna dusza autora Wesela najbardziej lgnęła do tragicznych dzieł Słowackiego, do Króla Ducha i Lilli Wenedy.

O wpływie Lilli Wenedy na twórczość Wyspiańskiego, zdaje się, nie pisano dotychczas. A jednak wpływ ten najwidoczniej odbił się w utworze, po którym spodziewaćby się tego należało najmniej, bo... w Weselu! Czemże bowiem jest cały symbol Złotego Rogu, zgubionego przez Jaśka, jeżeli nie tem samem, czem symbol zgubionej przez Derwida harfy? O tem zaś, czem jest harfa Derwida, wyraźnie mówi Rosa Weneda:

Ojciec mój na tronie złotym stoi
Ze swą harfą, jak ze słońcem czerwonem.
Każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch głos każdy leci
I obala z rumaków rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca, i oczyma zaświeci
I skrzydłami ognistemi okręci
Wojsko Lecha.

Taka była czarowna moc harfy Derwida. To też, gdy zjawił się bez niej, co odrazu równało się przegranej walce Wenedów z Lechitami, Rosa Weneda wita pełna grozy: „Bez harfy przyszedłeś!“

O! bogdaj mię piorun
Bo ty bez harfy przyszedłeś, o królu!
I dziś upadniesz na stos... bez królestwa!

Bo harfa, to było zwycięstwo!

Gdy w *Weselu*, w słynnej scenie, gdzie Jasiek wpada bez złotego rogu, zgubionego gdzieś u rozstajnych dróg, Chochoł mówi do niego cierpko:

Miałeś chamie złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór...
Ostał ci się ino sznur,

to jest poprostu przetransponowanie na ludową nutę tragicznego motywu powyższej sceny z *Lilli Wenedy*.

Jak dalece Wyspiański był pod urokiem tej „sofoklesowej“ tragedyi Słowackiego, dowodzi jego *Wyzwolenie*, gdzie przecież w jednej z najpiękniejszych scen, a stanowczo najpoetyczniejszej, występuje *Lilla Weneda* we własnej osobie, jako harfiarka, i grając na harfie, „przychodzi śpiewać na zgliszcze“, a jest symbolem poezyi żalu, tęsknoty i zwątpienia.

Na tych strunach nanizanych
Serce moje gram:
Śmiej się do mych lic rumianych,
Duszę twoją znam.

Dusza w tobie się żaliła,
Spostrzegłam ją raz,
Na rozstaju w źródle piła,
Kędy ołtarz-głaz.

U ołtarzam służką była,
Wróżyłam ci wiek.
Dusza twoja w źródle piła
Zapomniany lek.

Hej, wy struny moje złote
Grajcie szumny gaj;
Włosy moje w harfę splotę,
Harfo, duszę graj!

Wprawdzie Wyspiański przeczył temu stanowczo, żeby jego Rapsody o Bolesławie Śmiałym i Kazimierzu Wielkim można nazwać „dalszym ciągiem Króla Ducha“, bo z poematem tym tylko formę oktawy miały wspólną, a były poetyckiem uzupełnieniem witraży do katedry na Wawelu; ale mimo to nie da się zaprzeczyć, iż te rapsody, nietylko formę, ale i ton mają najwyraźniej pokrewny z Królem Duchem Słowackiego, iż rapsod o Bolesławie Śmiałym zaczyna się od epizodu, którym kończy się niedokończony rapsod o Bolesławie Śmiałym w Królu Duchu, że we wszystkich rapsodach Wyspiańskiego, bo i w Piaście, i w Henryku Pobożnym, tak samo, jak w poemacie Słowackiego, przemawiają widma królewskie, że każdy z tych duchów — jak w Królu Duchu — sam opowiada swoją historyę. Jednem słowem, czytając te patetyczne rapsody Wyspiańskiego, od pierwszego do ostatniego wiersza, ma się niczem niezachwiane wrażenie, że niezależnie od formy oktawy (dalekiej od doskonałości tej oktawy u Słowackiego, bo chropowatej i często nieregularnej), jest to po prostu naśladowanie Króla Ducha, trochę zmodernizowane, bardzo miejscami — jeśli tak wyrazić się wolno — secesyjne, ale naśladowanie chwilami potężne w locie poetyckim (choć krępowanym formą oktawy), ale chwilami także i nieudolne, ciężkie, bez natchnienia.

Że występująca w Legionie Wyspiańskiego Makryna Mieczysławska zupełnie jest pojętą w duchu Słowackiego Rozmowy z Matką Makryną, to się rozumie samo przez się. Nawet dowodzić tego nie potrzeba.[1])

Zdaniem złośliwego autora Czyśca Słowackiego, nawet w Weselu widoczny jest wpływ dramatów Słowackiego, nietylko w formie wiersza, podobnej do Snu srebrnego Salomei, ale i w poszczególnych postaciach kobiecych. Tylko, że — zdaniem tegoż krytyka — wiersz w Weselu tylko liczbą zgłosek przypomina wiersz Snu srebrnego Salomei, bo jako wiersz, jako forma, nie wytrzymuje krytyki, co w pomienionym pamflecie (równie złośliwym, jak dowcipnym) wyrażonem zostało w następujący sposób à la Beniowski:

Sam Bóg wie tylko, jak mi było trudno
Do tej pokuty, co mi dał, przywyknąć:
Iść co dnia drogą tych wierszy paskudną,
Przeczytać ich tysiące i nie syknąć!

---

[1]) W nieznanym fragmencie Nocy Listopadowej, ogłoszonym w Przeglądzie Powszechnym, występuje Słowacki (między publicznością) w otoczeniu Satyrów.

A co się tycze różnych postaci kobiecych w Weselu, wzorowanych na heroinach Słowackiego, to biedny Juliusz, skazany w czyśćcu na czytanie dramatów Wyspiańskiego, tak sobie urzewnia przy lekturze Wesela (wierszem i stylem Snu srebrnego Salomei):

Dzieciątko me najmilejsze
W sercu ojca wypieszczone,
Jego ręką w czar strojone!
Tęcze swoje najświetniejsze
Snuł on koło waszej głowy,
Dźwięki, co miał najrzewniejsze,
Kładł w wasze serca i mowy,
Lillo, Salomeo, Dyano!
Tak mi was sponiewierano,
Że was takie... tak udają!
Waszą mowę przedrzeźniają!

To też „duma z ojcowską miłością“ poi się w nim „gorżką żałością“. Inne ustępy Wesela wydają się autorowi Czyśca naśladowaniem długich tyrad Sawy:

Niby to Pafnucy, niby Sawa:
Jego długie bezładne gadania
Widocznie wzięte z ich opowiadania.

„Zły przykład dałem — powiada sam, dręczony w czyścu. Słowacki, — przyjął się; a dobry nie!“ Poczem tak dalej, stylem Snu srebrnego Salomei, wywodzi biedny Juliusz:

Tem, żem darów tych nadużył,
Ja w tych darach rozkochany,
Ja fantazyą kołysany
W tęczach widziałem marzenia
Samą istotę tworzenia
Unoszony gdzieś pod nieba
Mych wrażeń lotnym powiewem,
Czarowany własnym śpiewem,
Jam zapomniał, że potrzeba
Swoich myśli panem być;
Jak wieszcz, lecz i jak mąż żyć!
Swoimi darami rządzić,
Nie im dać nad sobą rząd,
Dziś, kiedy się umiem sądzić,
Wiem, że to był wielki błąd,

Bo zły przykład wydał plon:
Bo się mnożą ze wszech stron
Moich natchnień kopie blade:
Za siłę mają przesadę,
Dziwactwo zamiast twórczości,
Ciemność zamiast głębokości.
A co zowią swej poezyi życiem,
To jest mych wad nadużyciem.

W dowcipnej rozmowie z Mickiewiczem, na zapytanie wieszcza Dziadów, jak się tu czuje „w tej czyścowej drodze“, tak mu się skarży Słowacki:

Bolałem, wiesz, bardzo,
Kiedym myślał, że mną gardzą,
Lecz teraz po ciała śmierci
Źle pojętą admiracyą,
Źle robioną imitacyą
Z moich kwiatów pyłki barw
Kilka dźwięków z moich arf
Porwał jakiś wiatr złośliwy:
Rzucił gdzieś w jałowe piaski
Rzucił w jakiś moczar nizki,
I z kwiatów wyrosły pokrzywy,
A z dźwięków zostały wrzaski
Lub zostały z dźwięków piski,
Echo donosi do mnie przeraźliwy
Wrzask i pisk, zawsze fałszywy.

W ten sposób stwierdziwszy niezaprzeczony fakt, iż poezya polska, nie zawsze szczęśliwie poszła śladami Juliusza, uległa jego „sile fatalnej“, stwierdza autor Czyśca Słowackiego równocześnie, iż ta poezya nie poszła ani torem, wytkniętym przez Mickiewicza, ani tembardziej śladami Krasińskiego. Naturalnie, iż wypowiadając to zdanie, dowcipny satyryk czyni to z ironią, przyczem znowu używa formy wiersza Słowackiego.

W apostrofie do Mickiewicza przemawia wierszem Do autora Trzech psalmów:

Czy ty myślisz, ty zuchwały,
Że świeci jasność twej chwały,
Że te twoje Wallenrody,
Tadeusze, Dziady, Ody,
Farysy, Improwizacye
I inne elukubracye
Ludzi dość, jak dawniej, zwodzą
I za poezyę uchodzą?

. . . .

Apostrofa do Krasińskiego, równie dowcipna, znów nosi cechy tego samego stylu: „A ty drugi — wołają Erynnije — siedź mi cicho.

Czas zbyt długi
Uchodziłeś za coś w świecie,
Lecz ten czas się skończył przecie!
Że tam kiedyś twe androny
Te psalmy, te Irydiony
Miały jakiś sukces marny,
A twój lichy wiersz niezdarny
Za coś kiedyś miały osły,
To ci rogi tak urosły.
Że mnie odpowiadać śmiesz?
Usłysz-że, kiedy nie wiesz,
Że ciebie już niema zgoła,
Nie istniejesz, nicość woła
Cię do siebie, i w nicości
Uschną resztki twych istności.

Są to naturalnie wolne żarty, ale ponieważ w każdym żarcie zawsze jest część prawdy, więc i w tym wypadku jedno zasługuje na podkreślenie, iż nawet jeden z najznakomitszych krytyków polskich (bo właśnie takim jest bezimienny autor Czyśca Słowackiego) stwierdził niedwuznacznie, że z trzech wielkich romantyków polskich, nie Mickiewicz, nie Krasiński, lecz tylko Słowacki stworzył szkołę w poezyi polskiej, zwłaszcza gdy idzie o t. zw. Młodą Polskę.

XIV.

Nie odnosi się to jedynie do fenomenalnie utalentowanego Kazimierza Laskowskiego, który — jeszcze należycie nie doceniony przez krytykę — miał dziwną zdolność naśladowania wszystkich stylów poetyckich, począwszy od stylu Mickiewicza, Lenartowicza i Asnyka, a skończywszy na Gomulickim, Tetmajerze i Wyspiańskim (którego Wesele znakomicie sparodyował w swym Pogrzebie). Oczywiście, iż Słowacki nie mógł stanowić wyjątku w tej regule; przeciwnie, istnieje mnóstwo wierszy Laskowskiego, znakomicie naśladujących różne utwory Juliusza.

Takim jest n. p. „list otwarty“ Do „Pana Brzeżan“ o browarze w Brzeżanach, list satyryczny, o którym dostateczne wyobrażenie da choćby ta jedna strofa:

„Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy“.
Tak o Brzeżanach pisał J. Słowacki.
A dziś zapewne w wielkiej tajemnicy
Przed tobą (rozkaz wydał Totumfacki),
Dziś resztę herbów nad zamczyskiem skrobią
I tam, gdzie hetman śnił, tam... piwo robią!

Mistrz formy wogóle, Laskowski nie cofa się przed żadną, a jeśli idzie o oktawy à la Beniowski, albo o sekstyny à la Podróż na Wschód, to żongluje niemi, jak skończony wirtuoz. Oto n. p., jak pisze oktawą, wzorowaną naturalnie na kapryśnościach Beniowskiego:

Śmiać mi się nie chce, a płakać nie mogę:
Nie robię bowiem z uczuć karykatur.
Ale gdy zewsząd zabiega mi drogę
Tyle w frazesie wyszkolonych natur,
Gdy byle żaba dziś podstawia nogę,
Gdy zresztą... zresztą *tertium non datur!*
I ja, gdy taka najwidoczniej era,
Spróbuję sobie zagrać bohatera!

To niezbyt trudne. Za żonglerskie kule
Weź lud, ludowych kilka przymiotników,
Jego pragnienia, zamiary i bóle,
Wyczute z różnych *ad hoc* podręczników;
Potem, westchnąwszy o rękach w namule
Depcz po grobowcach starych mogilników
I plwaj na wszystko, co za grobów miedzą...
Umarli przecież nic nie odpowiedzą!

Tylko pamiętaj, byś po każdem słowie,
Które na przeszłość śliną jadu bryźnie,
Czy słuchaczami będą młodziankowie,
Czy rzesza starców o srebrnej siwiźnie,
Bracia w Chrystusie, czy bracia w Jehowie,
Z wielkim patosem głosił o Ojczyźnie!
Bo u nas — każdy bezstronny to przyzna —
Na wszelki sposób mówi się: Ojczyzna!

. . . .

Tylko tam w dali, gdzie nie sięgnąć rymem,
W tem, owem „niegdyś“ pod wieków pomroką,
Za niegasnącym słońca baldachimem
Bardzo daleko i bardzo wysoko,
Za gwiazd zorzami, za obłocznym dymem,
Gdzie tylko duchom Pan otwiera oko:
Tam takie echa szlochają tułacze,
Iż serce czuje, że to... Polska... płacze!

A przecież Laskowski, jak Słowacki, śmiało może powiedzieć o sobie:

Sam się rym do mnie miłośnie nagina:
Oktawa pieści, kocha mię sekstyna;

więc i w stylu Grobu Agamemnona nie było mu trudno napisać kilkanaście sekstyn na temat Demokratycznych wrażeń.

„Niech fantastycznie...“
Chciałem w ślad Juliusza
Iść, wołać echem w grocie donidycznej,
Ale, czy nadto schłopiała mi dusza,
Czy nastrój mamy tak demokratyczny:
Ledwiem marzeniem objął grecki lazur,
„Psiakrew!“ zacząłem kląć, jak ślepy mazur!

To pierwsze słowo nad popiołów urną,
Gdzie się Atrydów przesuwają cienie,
Zbudziło jakąś jawę szarą, chmurną,
Innych grobowców wskazało kamienie
Równie wymownych — jeśli dusza pyta —
Jak te, gdzie czombry pachną, laur zakwita!

Więc do tych grobów, już nie greckim szlakiem,
Już nie w Arachny opowity płótna,
Leciałem, myśli rozpuściwszy ptakiem.
A każda była bardziej grobów smutna.
I bardziej cicha, i bardziej milcząca,
Niż te cmentarze, gdzie brzoza płacząca.

I dużo zeszło chwil w niemym pacierzu.
Zanim się myśli przystroiły w dźwięki;
A nikt mi przecie w szkieletów pancerzu
Nie stanął w poprzek, ani ujął ręki.
Gdym swoje dłonie na mogiłach łamał:
Płakać nie bronił nikt, bo płacz nie kłamał!

Było tak cicho i tak prawie ładnie
W tej ciszy, śpiącej w brzozowych warkoczach.
Że serce, jak ten liść, zanim opadnie,
Czuło łzę każdą, urodzoną w oczach.
Czuło, że upaść ma. gorycą słone,
Duchem z za mogił, jak wiatrem, strącone.

. . . .

A właśnie słońce szło... I jęło świtać
Nad moją głową i nad mogił piaskiem,
I srebrne rosy w złote sieci chwytać
I srebrną ciszę wyzłacać rozbrzaskiem,
Żem czuł przed sobą dwie świecące bryły:
Wschodzące słońce żywe i mogiły!

I nie wiedziałem, która z nich widzeniem?
Bo mię obleciał lęk i płomień wstydów,
Że w tej rosświetli jeden byłem cieniem,
Ja jeden, także potomek Atrydów,
Co również mieli na mieczach kochanie,
Jak tamci, śpiący w pragreckim kurhanie!

O stare groby! Jeżeli wam dano
Powiedzieć sercu, gdy zwątpieniem bije,
Co tam ze starem słońcem pogrzebano,
A co się z nowem odrodzi i żyje:
Toście powinny wszystkie wstać na połać
Iść i co nowe zorze wieszczbą wołać!

Na wzór słynnego listu panny Anieli do Beniowskiego napisał także Laskowski prześliczny, pełen sentymentu List znaleziony, list, pod którym, dalibóg, sama panienka z Anielinek podpisaćby się mogła, pomimo, że nie jest ujęty w formę oktawy.

Piszesz do mnie, bym zapomnieć chciała,
Skoroś inną pojął w życia drogę...
Jabym dla cię duszę wypłakała!
Ale... powiedz, w jakim ukryć grobie,
Jakim serce przywalić kamieniem,
Aby pamięć nie biegła ku tobie,
By się z twojem nie spotkać wspomnieniem?
. . . .
Ale naucz, com zrobić powinna?
Ale naucz, ukaż taki kątek,
Gdziebym mogła się wyzbyć tęsknicy!
Do ostatniej ci oddam z pamiątek!
Do ostatniej łzy oddam z źrenicy,
Ale naucz... Oddam wszystkie kwiaty,
Choćby serce się miało zakrwawić...
I modlitwę będę słać w zaświaty,
I tej drugiej będę błogosławić.

Piszesz do mnie, bym zapomnieć chciała,
By cię dawnem wspomnieniem nie pętać...
Jabym dla cię duszę wypłakała.
Ale pozwól mi chociaż pamiętać...
. . . .

Ale pozwól wspólne serca bicia
Chociaż w mojem aż do śmierci nosić?
Ale pozwól... bo to nad me siły!
Bądź ostatniej prośbie litościwy...
Ale pozwól wierzyć do mogiły,
Żeś i ze mną był niegdyś szczęśliwy!

Ale nietylko list panny Anieli pobudził Laskowskiego do naśladownictwa: nawet wierszyk Słowackiego do Zosi Bobrówny odezwał się raz w poezyach El...a wdzięcznem echem:

„Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi...“
Powtórzę dzisiaj, jak wielki poeta:
Bo każda piosnka, co bym złożył Zosi,
Nie taka będzie, jakbym chciał, i nie ta,
Ani wiązania całego nie powie....
Więc co po pieśniach, gdy mówią w połowie?
. . . .
Niechaj mię Zosia o wierszyk nie prosi...
Bo ja dla Zosi chciałbym wielkiej pieśni!
Dźwięków tak czystych, jak w serduszku Zosi,
Śpiewu, co wszystkie myśli ucieleśni,
Odleje w spiżów hejnał, w zaklęć słowie!
I nie utai nic, wszystko wypowie!

Gdy w roku 1899 obchodzono 50-tą rocznicę śmierci Słowackiego, Laskowski miał wątpliwości, czy mu się godzi stanąć przed trumną wieszcza, a zakłopotaniu temu dał wyraz w formie wiersza Do autora Trzech psalmów, doskonale utrafiając w jego ton.

Z czem mi stanąć u Twej trumny?
Gdybym zdobył się na męstwo
I zagrobne chciał zwycięstwo
Wieścić Tobie! prochu dumny!
Z czem mi stanąć? Z uwielbienien,
Ustrojonem w strofę składną?
. . . .
Jabym nie śmiał u Twej trumny
Giąć kolana z taką danią!
Jak ów z rozśpiewaną krtanią
Zimnych płaczków poczet szumny!
Co usłane oktawami
Po Beniowskich zasiadł gniazda
I chce wzlatać pod gwiazdami
W własnej pysze, jako gwiazda!

Co w roztruhan po Anhelich
Ckliwych rymów sączy zdrój..
Jabym nie śmiał... Bo to kielich
Z Twego skarbca! Kielich Twój!

. . . .

Ponieważ forma wiersza Do autora Trzech psalmów jest jakby stworzoną do poetycznych polemik, a Laskowski nie miał najmniejszej trudności w jej naśladowaniu; więc gdy raz jakiś niepowołany krytyk wyrwał się, jak Filip z konopi, z twierdzeniem, że poezya właściwie świeci tylko fałszywym blaskiem, że w gruncie rzeczy wpływ jej na losy narodu jest żaden, i dlatego nie należy do niej przywiązywać znaczenia czynu, a zwłaszcza czynu patryotycznego, oburzony podobnym sądem autor Pogrzebu zaprotestował przeciwko temu ironicznie. a uczynił to znów w tonie wiersza Słowackiego:

Ty powiadasz, mój rozumny,
Że pieśń tylko próchnem świeci.
Że gdy z piersi w świat uleci.
Ustrojona w brzmień kolumny,
Wicher za nią ściera ślady,
Rwąc na strzępy liść wawrzynu:
Że tych dźwięków miesiąc blady
Nie ustąpi słońca-czynu!
Ty powiadasz, drwiącą twarzą,
Ukazując wieków pleśń,
Jakbyś pytał: „Niech mi wskażą,
Co i gdzie zdziałała pieśń?"
Ty się pytasz? Więc odpowiem!
Choć nie pójdę na kurhany,
Gdzie śpią dzwonne teorbany...
Dość mi żywych iść pogłowiem,
Między żeńców dość mi lud
I tam spytać cię na łanie:
Zabierz piosnki z chłopskiej „krtanie".
Czem wyzłocisz znojny trud?

Nie! prawdziwy czyn, ten płodny,
Nie plwa harfom, które dzwonią,
Lecz stalową chyli skronią!
Bo on pieśni pierworodny!
Bo on wstaje. choć słoneczny,
Nie przed jutrznią, lecz po zorzy,
Kiedy pieśni dźwięk serdeczny
Już ścieżaje serc otworzy

I nie depce tych wawrzynów,
Co po matce wziął, jak syn!
Pieśń heroldem jest dla czynów,
Zaś akordem pieśni — czyn!
Ona idzie przodownicą,
Chociaż światłem błyszczy bledszem,
Lecz dla duszy jest powietrzem,
Lecz dla znoju jest krynicą!
Lecz wyzłaca każdy trud
Na ludzkości twardym łanie...
. . . .

Jak Ujejski, Wężyk, Norwid, Miron, Jankowski, Gliński i Tetmajer, podobnie i Laskowski nie zdołał się oprzeć pokusie, by nie napisać parafrazy rzewnego Hymnu Słowackiego o zachodzie słońca na morzu. I nietylko, że się ważył na ten eksperyment, ale uczynił to nawet aż dwa razy, a za którym razem lepiej, rzewniej, poetyczniej, to już niech sam czytelnik osądzi.

Oto pierwsza z tych „transkrypcyj“:

Smutno mi, Boże! Słyszę szept dzieciny...
„Ojcze nasz — mówi, — który jesteś w niebie“,
„Święć się Twe Imię“ i „odpuść nam winy“ —
Mówi do Ciebie...
Że już to dziecko o coś prosić może —
Smutno mi, Boże!

I ja chłopięciem przed srebrnym obłokiem,
Gdzie złoty trójkąt z białą gołębicą,
Klękałem niegdyś z rozmodlonem okiem,
Ufną źrenicą,
Że dziś, nie patrząc, jeno głowę korzę —
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże! Od Twojego nieba
Do mojej ziemi śnieżne płaty lecą
I po zagonach powszedniego chleba
Zamrozem świecą...
Że siejesz lodem, mając w skarbcu zorze —
Smutno mi, Boże!

I chociaż, stojąc pod Chrystusa Krzyżem,
Co w swe ramiona objął moje pola,
I ja z dziecięcym powtarzam paciérzem:
„Bądź Twoja wola“ —
Gdy w samotności myśl u stóp Twych złożę —
Smutno mi, Boże!

Niemniej udaną i poetyczną jest druga „parafraza“, w formie erotyku:

Smutno mi, Boże! Dzieckiem o zaraniu,
Gdym pierwsze słońce ujrzał na błękicie,
Słyszałem piosnkę o wielkiem kochaniu
Na całe życie!
Dziś jednej zwrotki tej śpiewki nie złożę...
Smutno mi, Boże!

A jednak miałem ją całą przy duszy,
Chroniłem w piersiach i zbroiłem wolą,
Tylko przepadła gdzieś w życiowej głuszy,
Stłumiona dolą...
Że jej już serce odnaleźć nie może —
Smutno mi, Boże!

A takbym pragnął, jak wtedy dzieciną
Tą samą nutą napojone wargi
Nad mazowiecką ustrunić równiną
Bez żadnej skargi,
Że myśl już dawnej skiby nie wyorze —
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, jak oracz nad płonnym zagonem,
Nad własnem sercem stoję zadumany,
Bom nie odpłacił spodziewanym plonem
Za chleb posiany.
Czekałem jutra, dziś się jutrem trwożę...
Smutno mi, Boże!

Czekałem jutra i tego kochania,
O którem piosnki podzwaniało echo...
Było i... przeszło bez mocy wytrwania
Pod moją strzechą...
Jeślim ja winien... do stóp Twych się korzę...
Smutno mi, Boże!

XV.

Podobnych „transkrypcyj“, „parafraz“ i „naśladowań“ Hymnu Słowackiego dałoby się w naszych czasopismach wynaleźć sporo, bo od śmierci autora Anhellego aż do chwili obecnej, w czasach pokoju, jak i podczas obecnej wojny światowej, nigdy

nie brakło w Polsce poetów, którym w przystępie minorowego nastroju, pod wpływem osobistych czy ogólnych smutków, wezbrane uczucie samo układało się w strofy, zaczynające się i kończące refrenem: Smutno mi. Boże!

Jedno z takich naśladowań, jedno z udatniejszych nawet, udało się odkryć prof. Wiktorowi Hahnowi w starym roczniku Tygodnika Wielkopolskiego z roku 1871 [1]). Wiersz ten, którego autor, podpisujący się pseudonimem Wyklęty, otwarcie przyznaje się w przypisku do zależności od Słowackiego (co zresztą i bez tego odrazu każdemu czytelnikowi rzuciłoby się w oczy), rzeczywiście jest pełen uczucia, a pobrzmiewa echami wojny francusko-pruskiej, grzebiącej wiele nadziei polskich.

Oto kilka jego celniejszych strof:

Smutno mi, Boże! Dla mnie w sercach ludzi
Zbudziłeś miłość, jak ten świt różowy,
Myśl mą rozjaśnia i do czynów budzi
Bratniemy słowy;
Jednak gdy duszę dla braci otworzę —
Smutno mi, Boże!

. . . .

Wśród chrzęstu broni i jęków rozpaczy
Czyż się nie cofniem ztąd, dokądśmy przyszli?
Gdzież się obróci w tym tłumie siepaczy
Gladyator myśli?
Gdy do spraw świata me serce przyłożę —
Smutno mi, Boże!

Nad puste pola i zwalone grody
Wznosisz swe złote słońce, i pokoju
Tęczę rozwieszasz nad grobem swobody
Po krwawym boju!
Że w taki straszny dzień tak jasne zorze..
Smutno mi, Boże!

Marzyłem niegdyś o królestwie Twojem,
Wierzyłem w dzień Twój z Twą ojcowską władzą,
Myśląc, że ludy nie ogniem i bojem
Dzień ten sprowadzą!
Lecz wolność... tylko krwią zdobyć się może!
Smutno mi, Boże!

---

[1]) Tygodnik Wielkopolski z dnia 23 grudnia 1871 r., Nr. 52.

W noc cichą, kiedy mrówczy tłum uśpiony,
Śniąc o Twem niebie, zapomniał o zgonie,
Gdy spojrzę w światów błądzące legiony
W bezmiaru tonie;
Gdy wspomnę, że i nad nami rozdroże —
Smutno mi, Boże!

Wszystko nam wziąłeś, co wziąć mogłeś, Panie!
Ale nie na to skarżą się me słowa,
Bo siła nasza znowu zmartwychwstanie
Wieczna i nowa;
Tylko, że na nią czekamy w pokorze —
Smutno mi, Boże!

Że zamiast pracą wywalczać uznanie
I własną siłą zdobywać sztandary,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Łzy i ofiary...
Że wciąż czekamy, aż nam ktoś pomoże —
Smutno mi, Boże!

Jedyny to wiersz polityczny, wzorowany na czysto lirycznym Hymnie Słowackiego.

Ale znalazł się i wiersz humorystyczny, jakby parodya Hymnu Słowackiego. Wydrukowany w akademickiem Ziarnie z r. 1886, a podpisany literami Z. Ł., p. t. Nudno mi, Boże! Jest to złośliwa satyra na kwietyzm i sybarytyzm naszej bogatej szlachty, prowadzącej życie egoistyczne i bezmyślne.

Oto kilka pierwszych strof z tego dowcipnego figliku:

Minęła młodość, jak przemija burza,
Znikła w przeszłości z dobrą w przyszłość wiarą,
I choć mnie bawi, przyjemnie odurza
Dobre cygaro;
Jednak powiadam przed Tobą w pokorze:
Nudno mi, Boże!

Choć mam w kieszeni dochód wielkiej wioski,
Choć mam do usług lokaja i... żonę;
Chociaż zabrały z sobą wszelkie troski
Lata minione;
Lecz jakoś życie już nęcić nie może —
Nudno mi, Boże!

Książek nie lubię, lecz czytam gazety,
I w każdej chwili nad czemś ubolewam;
Dziś gardzę nawet pięknością kobiety —
Cały dzień ziewam.

I co dnia szepczę o wieczornej porze:
Nudno mi, Boże!

Dawniej lubiłem karty, pohulanki,
Lecz dziś na widok ich opuszczam głowę,
Nawet znudziły bardziej, niż kochanki.
Damy kartowe,
I wyznam: jestem zawsze w złym humorze —
Nudno mi, Boże!

Kiedy ma żona narzeka na zdrowie,
Jedziem, zwiedzamy kraje, miasta różne,
Ale, niestety, w każdej mej rozmowie:
Z pustego w próżne,
I widzę wszystko dziś w ciemnym kolorze...
Nudno mi, Boże!

. . . .

W zupełnie innym rodzaju jest Hymn o zachodzie słońca na morzu, napisany w Nizzy w r. 1907 przez Wandę Zaleską, a ogłoszony w swoim czasie w lwowskim Przeglądzie Ludwika Masłowskiego. Jest to wprawdzie „naśladowanie Słowackiego“, ale bezwarunkowo jest to wylew uczuć prawdziwie pięknej i poetycznej duszy. Sama Konopnicka mogłaby się pod tym wierszem podpisać z przyjemnością.

Kocham cię morze! Dla mnie twa głębina
Zaczarowany świat otwiera duszy,
Marzeniu skrzydła mew białych przypina,
Szumem bałwanów chmurne myśli głuszy —
Przed twym ogromem ja dzisiaj się korzę:
Kocham cię morze!...

Jako olbrzymia tafla lazurowa
Odbijasz w nurtach błękit niebios siny
Gasnące słońce w twe fale się chowa,
Chwieją się gwiazdy na tle twej głębiny;
Cudneś! gdy ranne ozłocą się zorze:
Kocham cię morze!...

Dzisiaj widziałam srebrnopióre żagle,
Jak skrzydła ptaka nad tobą rozpięte...
Chwilę kołyszą się... a potem nagle
Lecą w przestrzenie okiem nieobjęte...
Gdybyż być łódką, co nurty twe porze!
Kocham cię morze!...

Żem często stała nad twoim obszarem,
Dumając długo w tęsknoty godzinę,
Tyś oczy swoim upoiło czarem,
Tak, że dziś z tobą już sercem w dal płynę...
Na senne fale myśl tęskną położę —
Kocham cię morze!..

Ty weź te myśli mojej biednej głowy,
Kołysz je, kołysz aż do ukojenia,
Niechaj niepomną już raz ludzkiej mowy,
Zatop je w słodką nieczułość milczenia;
Ja się tych myśli już sama dziś trwożę,
Kocham cię morze!

Kazano sercu iść w życie przebojem,
Stłumić jęk bólu na ustach powstały...
Więc gdy dzień każdy jest walką i znojem,
Gdy rwie się w pętach mój duch oszalały,
Zranione serce przed tobą otworzę —
Kocham cię morze!...

Na pierś twą, cicho dyszącą, w tęsknocie
Upadam, życiem zawiedzione dziecię...
Hen — tam... zachody rozśmiały się w złocie,
I Anioł Zmierzchów przeleciał po świecie...
Zdejm myślom moim gniotącą obrożę!...
Kocham cię morze!...[1])

Gdy w końcu wybuchła wielka wojna europejska, gdy cała ziemia polska od Lwowa po Wilno stała się głównem polem walk z Rossyą, gdy w skutek tego na kraj spadły tysiączne klęski, wydarł się z piersi młodej poetki z Mińska, Lili Małeckiej, następujący, rzeczywiście natchniony psalm, z błagalną prośbą o zmiłowanie.

Że się w pożarach rozgorzały strzechy,
I krwawa łuna świeci od płomienia,
Że znikąd nie ma rady i pociechy,
Ni wspomożenia...
Że się po ziemi krew rozlała w morze,
Zmiłuj się Boże!...

Że nie wiem, jakie ze krwi będą plony,
I śmierć po ziemi niesie tylko zguby,
Żeś, Panie, krwawe powyznaczał zgony
I ciężkie próby...

[1]) Przegląd z dnia 14 marca 1908 r.

Że dzisiaj rozpacz — to życia podłoże,
Zmiłuj się Boże!...

Że ziemia polska poorana w szmaty,
Zburzone miasta w gruzy i kamienie,
Że w popiół polskie obrócono chaty,
Zabrano mienie...
Że dzisiaj Polska — to śmiertelne łoże,
Zmiłuj się Boże!...

Że się po ziemi rozszlochała męka,
Zadana rana krwawi się i pali,
Że straszna zmora serca ludzkie nęka,
I w łzach się żali...
Że myśl człowieka wyszła na bezdroże,
Zmiłuj się Boże!...

Że nie wiem, gdzie jest Twoje zmiłowanie,
I kiedy wreszcie przyjdzie dzień po burzy,
Że się w błaganiu próżno korzę, Panie,
U Twych podnóży...
Że skarga biegnie z ust o każdej porze,
Zmiłuj się Boże!...

Że wzrosły w ziemię krzyże i mogiły,
I osłabiona dusza w nas się słania,
Że cierpieć więcej już nie mamy siły,
Ni wytrzymania...
Że ciężej, Panie, już nam być nie może!
Zmiłuj się Boze!...[1])

Gdy w roku 1916 polskie Legiony znalazły się w Warszawie, a nie spotkały się ze spodziewanym entuzyazmem, gdy Legioniści, w obec szerokotorowej oryentacyi większości społeczeństwa w Syrenim Grodzie, z każdym dniem coraz bardziej zaczęli tu czuć się nieswojo, — jeden z nich, z duszą poety, tak sformułował swój warszawski nastrój:

Smutno mi, Boże! Tyś mi tak łaskawie
Dozwolił oto w Legionów mundurze
Zabłysnąć sławą dostojną w Warszawie
W dziejową burzę...
Lecz choć marszrutę, menaż mam i łoże...
Smutno mi, Boże!

---

[1]) Wiersz ten, ogłoszony w jednem z pism polskich, wychodzących w Rossyi, przedrukował Kuryer Lwowski w r. 1915.

I smętny chodzę z pochyloną głową,
Syty już rautów, a próżen ambicyi...
Ten biada: Lepiej wstąp pan do P. O. W.,
Ów: Do milicyi!
Że tak nikt ziomkom dogodzić nie może...
Smutno mi, Boże!

Jestem już prawie człowiek obłąkany
Po stu dyskusyach i przed stu drugiemi.
Przeciw mnie lecą neutralne barany
Stady całemi.
Że ich tak mnogo na polskim ugorze —
Smutno mi, Boże!

. . . .

Mówiłem wczoraj spotkanej syrenie:
„Czy chcesz koroną przystroić oblicze?“
„Idź precz — odrzekła, — puste masz kieszenie!
Ja — w rublach liczę.“
Nim się przed rubla wielkością ukorzę —
Smutno mi, Boże!

Na tęczę wystaw, którą tak ogromnie
Kupcy warszawscy w sklepach rozpostarli,
Będą bogacze, patrząc nieprzytomnie,
Z łaknienia marli...
Nim dni i myśli nowych wzejdą zorze —
Smutno mi, Boże!

Nie tu jednak kończy się wpływ „siły fatalnej“ Słowackiego na poezyę polską drugiej połowy XIX. i początku XX. wieku. Bo niedość, że ten wpływ tak widocznie odbił się na tak licznych utworach naszych poetów w ciągu ostatnich lat 60-ciu (a liczby tych utworów wcale w studyum tem nie wyczerpałem); ale nadto istnieje ogromne mnóstwo dzieł poetyckich, napisanych na cześć Słowackiego, dzieł, w których autor Anhellego jest sławiony, jako wieszcz narodowy, jako natchniony „syn królewski“, jako apostoł demokracyi, a czasem nawet i jako Król Duch wcielony.

Z utworów tych, między którymi nie brak i rzeczy pierwszorzędnych, ułożył w r. 1910 prof. Wiktor Hahn całą „antologię poetycką“ p. t. Juliusz Słowacki w poezyi polskiej. W ten sposób powstała książka *in 8°*, o 245 stronicach, zawierająca utwory *95-ciu* poetów polskich!

Podobnym kultem nie może się na Parnasie polskim poszczycić żaden z naszych wielkich poetów.

Jednem słowem sprawdziła się dumna przepowiednia Juliusza, gdy w V. pieśni Beniowskiego przewidywał swój tryumf w przyszłości, gdy, nakłaniany do pójścia wspólną drogą, wolał iść własną, przekonany, że to jest kierunek, w którym pójdzie rozwój poezyi narodowej.

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną!
Pójdę gdzieindziej! i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce, przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał!
Ja go powiodę, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie,
W me imię będzie krew i łzy wylewał,
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

Pisząc te dumne słowa, okazał się Słowacki jasnowidzącym, bo wszystko stało się dosłownie tak, jak to był przewidział w chwili natchnienia. Bo nietylko poetom dał „łabędzie głosy“, gdy opiewali miłość, a gdy pragnęli gromić, dawał im pioruny; ale gdy w roku 1863 naród „chciał płonąć“, on go, nie kto inny, „rozgrzewał“, w jego imię Polska wylewała krew i łzy. Rzeczywiście „lud poszedł za nim“.

A z ludem razem poszli i poeci, wszyscy prawie, jak jeden mąż! [1])

---

[1]) Niektórzy szli w tym względzie nawet tak daleko, iż Kazimierz Laskowski nie bez cienia słuszności zarzucił im nadmierne posługiwanie się natchnieniami Słowackiego i lękał się:

Abyś odczuł pod kamieniem,
Że cię kradli i dziś kradną!
Że natchnienie złotouste
Twojej schedy, dzisiaj łup,
Nicowany w dźwięki puste!

Ferdynand Hoesick.

(Dokończenie nastąpi.)

Zygmunt Kaczkowski
i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy.)

X.

(Ostatnie powieści: „Wasi Ojcowie“. — Rozbiór tego utworu. — Oburzenie Kaczkowskiego na artykuł H. Lisickiego o gen. Chłapowskim. — „Zaklika“. — Rozbiór tej powieści. — Rozprawa „O romantyzmie“. — Sprzeczne zdania Kaczkowskiego o Piotrze Chmielowskim i Stanisławie hr. Tarnowskim. — Zmiana opinii o H. Lisickim. — O Orzeszkowej. — List Kaczkowskiego o niej do Z. Sarneckiego. — List Orzeszkowej o stosunkach literackich. — Kaczkowski o Leonie hr. Pinińskim, Zygmuncie Sarneckim, prof. Tretiaku. — Listy Kaczkowskiego o Chmielowskim, Stanisławie hr. Tarnowskim. — Wspomnienia o Henryku Rzewuskim. — „Święta Klara“. — Rozbiór tej powieści.)

Pozostają nam jeszcze do omówienia trzy ostatnie powieści Kaczkowskiego: „Wasi Ojcowie“, drukowani w „Dzienniku Polskim“ w r. 1892. a wydani w książkowej edycyi w Warszawie; „Zaklika“, drukowany w krakowskim „Kuryerze Polskim“, wydany następnie w trzech tomach w r. 1893 nakładem księgarni L. Zwolińskiego i Sp. w Krakowie, i wreszcie „Święta Klara“, która ukazała się w „Nowej Reformie“ w r. 1895.

„Wasi Ojcowie“, to miała być powieść, zakrojona na szersze rozmiary. „Jeszcze w r. 1883 — pisze Kaczkowski do pani Jadwigi Liskowej [1]) — ułożyłem był powieść historyczną na wielkie rozmiary, mającą się napisać na podstawie żywych tradycyi, a obejmującą Trylogię, trzy epoki: 1) lata 1830—1831, 2) 1832—1846, a 3) 1846—1848. Ale napisałem wówczas tylko część I., zaś napisanie dalszych części, chociaż materyały mam skompletowane

[1]) z Paryża, z d. 12 grudnia 1891 r. Ms. — Zbiory Biblioteki Ossolińskich, Nr. 4985.

i uporządkowane, odłożyłem na później, a to dlatego, że według zdania wielu przyjaciół, żyjących w kraju, przypominanie spisków, toczonych przeciwko Austryi i dwóch rewolucyi również przeciwko Austryi, nie byłoby teraz na czasie, a nawet sprawiłoby w kraju nieprzyjemne wrażenie. Jednak pierwsza część może być drukowana bez szkody. Posłałem ją wczoraj „Dziennikowi Polskiemu“.“

„Dziennik Polski“, drukując tę powieść, nie doznał zapewne szkody, ale to rzecz niewątpliwa, że literatura polska nie poniosłaby także uszczerbku, gdyby „Wasi Ojcowie“ nie byli ukazali się w druku. Wprawdzie zastrzega się Kaczkowski, że to nie jest historya, lecz powieść na tle historycznem, lecz bez przesady powiedzieć można, że historya zaszkodziła tu powieści, a powieść historyi. Trudno wyobrazić sobie rzecz zimniej pisaną o wypadkach tak tragicznych i tak dla uczuć narodowych bolesnych. Autor widocznie usiłował stanąć na stanowisku bezstronnem i nie powodować się sentymentem, ale w tym kierunku poszedł zbyt daleko, wysuwając na plan pierwszy krytykę działań tak Rządu, jak i wodzów.

„Rząd — pisze — lubo z najcnotliwszych patryotów złożony, nie umiał dyktatoryalnej władzy ująć w swe ręce i zostawił naczelnemu wodzowi zupełną wolność działania — a Skrzynecki, ze swemi wadami, nie był w stanie kierować stutysięczną armią, jak powolnem narzędziem! Przedewszystkiem innem nie górował on nad swoimi podwładnymi ani znajomością sztuki wojennej, ani rozumem, ani silną wolą i stanowczością. Stąd już w organizacyi dowództwa wyniknęły chybienia fatalne: jenerałowie, pełni zdolności i poświęcenia dla sprawy powstania, jak: Henryk Kamiński, Kicki, Skarżyński, a nawet Dembiński, nie zostali stosownie użyci, natomiast zaś inni, jak: Giełgud, Jankowski, Bukowski, Umiński, bardzo słabych zdolności, a w części nawet wątpliwego patryotyzmu, pozostawieni na stanowiskach wysokiego znaczenia. Chrzanowskiego już nie było natenczas przy sztabie — a Prądzyński, człowiek genialny, ale którego geniusz ulegał lunacyom, popadł był właśnie natenczas w pewne zaćmienie umysłu i osłabienie energii.“ [1])

Takie krytyczne uwagi, takie bezwzględne sądy o dowódcach, nie poparte zresztą dokumentami, na które w powieści nie byłoby miejsca, osłabiają mocno w umyśle czytelnika wrażenie ogólne listopadowego powstania, nie mającego nawet barwy heroicznego

---

[1]) str. 367.

wysiłku, lecz upadającego pod brzemieniem niedołęstwa wodzów i „niedorzecznego rozłożenia armii“. Krytyka taka, w ustach historyka, rozporządzającego materyałem źródłowym, byłaby nietylko właściwą, lecz i uzasadnioną; pod piórem powieściopisarza razi i boli, tem dotkliwiej, że i na polach bitew czy to pod Stoczkiem, czy na polach Grochowskich, czy pod Ostrołęką, w obrazach kreślonych zimno, bez należytej plastyki, bez zapału, nic nie podnosi ducha. Wszystko przysłania mgła pesymizmu, tej beznadziejności, jaką autor natchnął Skrzyneckiego, który „nie robił sobie iluzyi, by armią rewolucyjną można było pobić mocarstwo rossyjskie“, który nazwał „*une affaire honteuse*“ bitwę pod Ostrołęką, jakkolwiek Rossyanie musieli cofnąć się za Narew, a Polacy zostali panami placu boju, nie straciwszy ani jeńca, ani żadnego sztandaru. Giną w krwawych bitwach ludzie, żołnierz walczy mężnie, z prawdziwą pogardą śmierci, ale czytelnik czuje na każdym kroku, że te ofiary daremne, a co gorsza, że sprawa nie upada pod naciskiem przemocy, lecz skutkiem niedołęstwa. Przykra, bardzo przykra powieść, której nikła fabuła nie zajmuje zresztą czytelnika i nie odwraca jego uwagi od ścigających go na każdym kroku uwag krytycznych.

Pisząc „Waszych Ojców“, zapomniał widocznie autor, jak gwałtownie oburzał się na Henryka Lisickiego za jego artykuł o gen. Chłapowskim, zamieszczony w r. 1885 w „Przewodniku naukowym i literackim, a będący wybornie napisaną analizą pracy ks. Kalinki p. t. „Jenerał Dezydery Chłapowski“. W artykule tym Kaczkowski, zawsze wierny swej animozyi do Stańczyków, do których oczywiście Lisickiego zaliczał, dopatrywał się „obrazy uczuć narodowych“ i w liście pełnym inwektyw wystąpił z zarzutem przeciw redakcyi „Przewodnika“, że takie „plugawe expektoracye“ przepuszcza. Redaktor stanowczo odparł nieuzasadnione zarzuty, na co Kaczkowski odpisał z Paryża d. 28 stycznia 1886 [1]) w znacznie już łagodniejszym tonie, modyfikując poprzednie ostre wyrażenia i charakteryzujący Listopadowe Powstanie zupełnie inaczej, niż się ono przedstawia w powieściowym obrazie.

„U ludzi oświeconych — pisze, — a przywiązanych do kraju, sąd o Listopadowem Powstaniu oddawna jest wyrobiony. Konstytucya 1815 r. nie mogła się w żaden sposób utrzymać. Raz dlatego, że Polacy, rozpaleni wtenczas więcej niż kiedykolwiek ideą odzyskania niepodległości dla całej Polski, a nawet z początku

[1]) List do Adama Krechowieckiego.

pchani w tym kierunku przez cesarza Alexandra I., nie mogli przestać na Kongresowem Królestwie, a z drugiej zaś strony dlatego, że absolutnie rządzona Moskwa nie mogła żadną miarą znieść konstytucyjnego organizmu w obrębie swojego Państwa. Te dwa prądy, więcej niżeli diametralnie sobie przeciwne, bo prześcigające się w przeciwieństwach, musiały się zetrzeć z sobą — i starły się w Listopadowem Powstaniu. Temu starciu nikt nie był winien, bo było ono dziejową koniecznością. W tych kilku słowach zawiera się cała historyozofia Powstania, — i nad tem niemasz i nie powinno być u nas żadnych dyskusyi. Kto w tem Powstaniu szuka wysokiego rozumu Stanu ze strony Polaków, ten grzeszy przeciwko prawdzie dziejowej, lecz kto w niem widzi błąd polityczny, nie mówię już zbrodnię, bo i to daje się słyszeć, ten nietylko obwinia naród o grzech, którego on nie popełnił, ale nadto jeszcze dostarcza Moskalom broni przeciwko nam, co w każdym razie jest karygodnym występkiem. Rozumny i z miłością dla sprawy narodowej przedsięwzięty rozbiór błędów szczegółowych, popełnionych przez Rząd Narodowy i przez Wodzów naczelnych, jest dopuszczalny i może być nauczającym; ale przedstawienie Listopadowego Powstania, jako głupotę do tego stopnia niezrozumiałą, że w niem tylko samą „Honoratkę“ można zrozumieć, taka bezmyślna a żółciowa expektoracya nie powinna nigdzie znaleźć przytułku.“

Gdzie i w czem mógł upatrzyć Kaczkowski „żółciową“ krytykę Powstania w artykule Lisickiego, to pozostanie zagadką. Był to właśnie „rozważny rozbiór“ niektórych błędów, zupełnie dopuszczalny w pracy poważnej, w naukowem piśmie umieszczonej. Przedstawienie zaś tych błędów w powieści „Wasi Ojcowie“, traktującej przedmiot bardzo zimno i bez miłości, było rzeczą co najmniej niewłaściwą. Ta wycieczka zjadliwa przeciw Lisickiemu tem bardziej zadziwia, że poglądy, wyrażone w jego artykule, zupełnie niemal zgadzają się z zapatrywaniami, wypowiedzianemi w powieści, z ogólną charakterystyką wodzów, a zwłaszcza Skrzyneckiego.

Z postaci, występujących w tym utworze, główną rolę odgrywa Tomasz Wisłocki, pułkownik wojsk francuskich i baron cesarstwa francuskiego, ożeniony z wdową po generale rossyjskim, księżną Abumelech, z domu Sosnowską. Dobry żołnierz, umiejący bić się walecznie w szeregach, wybiera się jednak do powstania z widoczną niechęcią. „Miałem ja różne myśli — powiada, — jakieby tu siły można zgromadzić w naszem sąsiedztwie. Materyału nie braknie, młodzieży huk w każdym dworze, zebrałby się wcale

porządny oddziałek, gdyby to poszło pod dobrą komendę. Ale tu każdy chce mieć swój rozum." Większy zapał okazuje już przyjaciel Wisłockiego, Michał Borch, a jeszcze większy pasierb i siostrzeniec pani Wisłockiej, młody książę Milek Abumelech, tylko że ten ostatni wyładowywa swój zapał w przemowach demagogicznych, w których dowodzi, że największym czynem patryotycznym byłoby powieszenie — Chłopickiego. Wszyscy oni biją się walecznie, odnoszą rany w ciężkich zapasach z wrogiem, ale tych zapasów nie ożywia istotny ogień patryotycznego zapału. To też i wszystkie te postacie wychodzą blado, bezbarwnie, — działają jak gdyby pod przymusem. — Najlepiej jeszcze wychodzą postacie o charakterze zdecydowanie ujemnym lub awanturniczym, jak hr. Łoś, blagier i tchórz, jak jego żona występna, lecz sympatyczna zalotnica, jak hr. Gedroyć, awanturniczy partyzant, który zebrawszy garstkę stu sobie podobnych, napada na konwoje rossyjskie i łupi je bez miłosierdzia. Dwadzieścia siedm furgonów i powózek zabrał, a w nich jedzenia, picia, wina szampańskiego, konfitur, broni, amunicyi, koni, bez liku. „Moi żołnierze — powiada z dumą — służą bez żołdu, a lepiej się mają, niżeli u Skrzyneckiego pułkownicy i generałowie. Gdybyśmy mieli takich sto oddziałów, to po upływie dwóch miesięcy armia nasza opierałaby się o Dźwinę." [1]) Jest to może najdosadniejsza, bo przykładem ilustrowana krytyka całej kampanii 1830 roku.

Właściwej fabuły powieść ta nie ma. Bardzo być może, iż autor zamyślał ją rozwinąć w następnych częściach zamierzonej trylogii, która wszakże napisaną nie została.

Powieść „Zaklika", w 3 tomach napisana, rozpoczął pisać Kaczkowski w r. 1890. Przykry epizod ze wznowieniem sprawy z r. 1863 w „Wydawnictwie materyałów" przerwał tę pracę. Pisze o tem Kaczkowski w liście do prof. Ksawerego Liskego z dnia 24 stycznia 1891 r.:

„W lecie przeszłego roku zacząłem pisać powieść współczesną p. t. „Zaklika", w której zamierzyłem przedstawić na tle, zaczerpniętem z czasów z przed r. 1863, mniej więcej wszystkie polityczno-społeczne prądy, jakie po Polsce teraz buszują, a mianowicie ten fakt, mnie przedewszystkiem uderzający, jak patryotyzm naturalny, ciepły, niewzruszony w swym gruncie, ale w swoich objawach zewnętrznych rozsądnie umiarkowany, ściśnięty pomiędzy te prądy, nieświadome siebie, bo namiętne i rozkiełzane, — słabnie,

[1]) str. 359, 360.

pozostaje bez wpływu i zwolna zamiera, — i w tej robocie ci ludzie wytrącili mi pióro z ręki.“

Z końcem roku 1891 powieść była wszakże skończona. Dnia 12 grudnia pisze Kaczkowski do pani Jadwigi Liskowej [1]):

„Powieść współczesna p. t. „Zaklika“ — nie z lat 1831 i 1863, jak to ogłosił „Kuryer Polski“, który nawet nie zadał sobie pracy rękopismu przeczytać, tylko z lat 1864—1880, — musiałem po długich ceregielach dać „Kuryerowi“, a to z tego powodu, że ta powieść nie podziela zasad i tendencyi ani partyi krakowskiej, ani demokracyi agitującej, owszem, obydwie traktuje ujemnie, a ze wszystkich galicyjskich dzienników tylko jeden „Kuryer Polski“ stoi pomiędzy temi stronnictwami, prócz tego zaś ma abonentów... Wiem o tem, że „Kuryer“ nie jest bardzo dobrym introduktorem dla powieści, ale spodziewam się, że ta powieść stanie na własnych nogach i nikt o to pytać nie będzie, kto ją ogłasza, tylko o to, kto ją pisał.“

Autor zamierzał przedstawić w niej główne prądy współczesne, z których każdy szuka wyjścia z matni, a tymczasem wszystkie się tłumią pomiędzy sobą. Zwraca się ona — „bez polemicznej werwy“ — jak to sam Kaczkowski w liście do pani Liskowej [2]) zaznacza — przeciwko konserwatystom, a jeszcze dobitniej „przeciw naturalistycznym, socyalistycznym i demokratycznym obłędom“. Zwracając się tak przeciwko wszystkim, wszędzie wykazując nietylko błędy i ułomności, lecz nierzadko występki i zbrodnie, daje ta powieść obraz dziwnie apatycznego i niesympatycznego społeczeństwa, w którem niema ani jednej niemal jaśniejszej postaci, chyba jednego księdza Prandoty, który jednak niewielkie ma pole działania, a widzi bardzo niedaleko, i prócz pieczeniarza Fujary, który zjednywa sobie czytelnika rzeczywiście głębszem przywiązaniem swem do Zakliki. Ten zaś Zaklika — bohater tytułowy powieści — jest niejednolity w swem postępowaniu: chwilami wywiera wrażenie człowieka o głębszem umyśle i zacnym charakterze, lecz wnet zmienia się w złośliwego i popędliwego, psując dodatnie wrażenie. Przebywa on niezwykłe koleje. Spadłszy z konia, wpada w letarg, wszyscy go mają za umarłego, opłakują zgon nagły, poczem wkładają do trumny i chowają w kaplicy grobowej. Aliści żandarmi rossyjscy, wdarłszy się do owej kaplicy, w poszukiwaniu jakichś papierów czy książek zakazanych, znajdują go ży-

[1]) Zbiór Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

[2]) List z Paryża, z d. 21 maja 1891 r.

wym i wywożą cichaczem w dal. Nikt zresztą o zmarłego się nie troszczy; życie bez Zakliki układa się tak, jak tego pragnie jego wcale nieszczególny synalek Ignacy, z pokrzywdzeniem córki Geni i najwierniejszych sług ojcowskich. O ile testament, pozostawiony przez Zaklikę, wywołał niezadowolenie spadkobierców i pewne wśród nich niesnaski, o tyle śmierć jego była poniekąd wszystkim na rękę: Genia mogła już bez przeszkody poślubić młodego Frydrusza Firleja, którego Zaklika nie lubił i któremu niedowierzał, a Ignaś nie znajdował już żadnej trudności w ożenieniu się z rozpustną, niegodziwą Florą Balcerówną. To też gdy Zaklika po pewnym czasie powraca — następuje istotna konsternacya. Zaklika przekonać się mógł na sobie dobitnie, że niedobrze jest zmartwychwstawać i że życia, które się po czyjejś śmierci wyrównało, niepodobna zawrócić na dawne tory. Jakim sposobem stać się mogło, aby człowiek, pochowany w letargu, obudzony w trumnie przez żandarmów rossyjskich, przeżył nietylko przerażenie pierwszej chwili, lecz podróż i więzienie choćby krótkotrwałe? — rozstrzygać nie będziemy; to już sprawa lekarzy. Dość, że Zaklika powrócił postarzały nieco, ale zdrów. Tylko wieczorami napadała go senność i martwota. Zastał sprawy majątkowe i rodzinne w największym rozstroju, a popędliwością swoją przyczynił się jeszcze do większego zagmatwania stosunków familijnych i wywołał zamach na swoje życie. Oto rozpustna Flora, rozmiłowana z całą potęgą zmysłowości w Ignasiu Zaklice, bardzo zresztą aż do niedołęstwa niezdecydowanym młodzieńcu, postanawia otruć starego Zaklikę, który energicznie sprzeciwia się małżeństwu syna z tą wyuzdaną panną. W tym celu nabywa jakiś morderczy eter i przez zacnego swego braciszka podsuwa go Zaklice, jako lekarstwo na prześladującą go co wieczora chorobliwą senność. Ofiarą pada nie Zaklika, lecz nieszczęśliwy Fujara, który, wciągnąwszy w nozdrza znaczną dozę zatrutego eteru, pada trupem u stóp swego ukochanego Zakliki. Ten zaś, oddychając zatrutem powietrzem, zapada w ciężką chorobę, z której wychodzi zniedołężniały jeszcze bardziej, lecz skłonny do rozważań filozoficznych, wcale nie oryginalnych, a wygłaszanych z patosem, któremi zanudza księdza Prandotę i czytelnika w sążnistym epilogu.

Sferę arystokratyczno-konserwatywną reprezentuje w powieści hr. Firlej, lekkomyślny a pyszny, żyjący nad stan, dla spraw ojczystych zupełnie oziębły i z rezygnacyą wyrzekający się wszelkich marzeń o przyszłości ojczyzny. „Jeżeli — powiada — wolno

nam jeszcze o czem marzyć bezkarnie, to chyba o stopniowem poprawieniu naszego losu w etnograficznych granicach.“ [1])

„Naturalistyczne, socyalistyczne i demokratyczne obłędy“, o których mówi autor w cytowanym liście do pani Liskowej, reprezentowane są w powieści głównie przez rodzinę Balcerów, ową rozpustną Florę, jej godnego braciszka, bez czci i wiary, gotowego zawsze do zbrodni i młodego Tarłę, szlachcica-radykała, spiskującego we Lwowie z rozmaitymi ciemnymi żywiołami. Stary Balcer w niedowiarstwie swem posuwa się aż do zaprzeczenia istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy; za życia, czując zbliżającą się śmierć, sprasza sąsiadów na własną swoją stypę; tu wygłasza bezbożną mowę, na którą jednak „rozumny“ Zaklika czuje się w obowiązku odpowiadać, sławiąc nawet męstwo Balcera wobec śmierci jego „wyniosłość myśli i charakteru“.

Ostatecznie wszystkie cienie padają na stronę owych Balcerów; Firlejowie — konserwatyści, w obec nich wychodzą obronną ręką, chociaż nie wzbudzają sympatyi, zarówno jak jej nie wzbudza i sam Zaklika rezoner-gaduła, często niesforny i popędliwy, a w końcu beznadziejny pesymista, który widzi, że „ten świat dzisiejszy tak spodlał, iż człowiek uczciwy musi się prosić o pozwolenie, aby mógł być uczciwym... musi koniecznie należeć do jakiejś koteryi, albo do jakiegoś stronnictwa... bo jeżeli stoi na własnych nogach, mówi jak myśli, działa jak mówi, a do tego jeszcze widzi jasno wszystkie obłędy innych i wypowiada otwarcie, co o nich rozumie, natenczas wszyscy mu wrogiem.“

Tak rezonuje Zaklika, wypowiadając tem niewątpliwie uczucia samego autora.

Losy innych nieciekawych bohaterów powieści, rozstrzygają się w epilogu, w sposób także nie ciekawy. Syn Zakliki, niedołężny Ignaś, gospodaruje na Żmudzi, w majątku ojcowskim, a zapomniawszy o Florze, i pogodzony zupełnie z panującym stanem rzeczy, ubiega się o rękę jakiejś generałówny, oczywiście rossyjskiej, „woląc — jak sam powiada — z Moskalami panować, niż być u nich w niewoli“. Zbrodnicza Flora, nosząc w swem łonie owoc miłości Ignasia, poślubiła rossyjskiego pułkownika, przeszła na prawosławie i zamieszkała z mężem w Petersburgu, gdzie też pociągnęła i godnego braciszka. Niczem się nie odznaczająca Genia Zakliczanka wyszła oczywiście za Frydrusza Firleja, którego niewiadomo za co tak bardzo miłuje, i pędzi z nim żywot szczęśliwy.

---

[1]) Tom I., str. 194.

Całość wywiera wrażenie niemiłe, krytyka społeczeństwa po ostatniem powstaniu wydaje się zbyt surową i niesprawiedliwą; streszcza się ona w tych słowach Zakliki w epilogu: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie! ale nie dałeś zdrowego rozsądku i publicznego sumienia.“ Wobec ujemnych, bardzo czarnych, albo nijakich, bladych charakterów, razi brak zdecydowanych, jasnych postaci, — w całej kompozycyi znać znużenie czy omdlenie twórczości. Odbiło się w tem usposobienie autora, który tak się wywnętrzał, właśnie w czasie pisania tej powieści, przed panią Jadwigą Liskową:

„Im dłużej żyję, tem więcej we mnie słabnieje chęć, a z nią razem i możność pisania. Cały świat się zmienił koło mnie; inni ludzie, inne pojęcia, inne ideały, — a raczej brak ideałów. Pomiędzy mną, a czytającym ogółem niemasz już prawie nic wspólnego. Ślepym bym był, gdybym tego nie widział. Ja jestem jak duch, co się nocą zjawia na cmentarzyskach i odzywa się głosem, nie mogącym wywołać oddźwięku, bo jest martwym dla dzisiejszych pokoleń. Dla kogo pisać, jeżeli nikt nas nie czyta? Moich „Olbrachtowych Rycerzy“ odbito tylko w siedmiuset egzemplarzach, — a i tych nie sprzedano.“

Donosząc następnie, że pisze powieść p. t. „Zaklika“ dodaje:

„Robota ta mnie więcej zajmuje, niżeli którakolwiek z moich robót dawniejszych, — już mi tylko kilkadziesiąt kartek brakuje do końca: a przecież nieraz odrzucam pióro, pytam się siebie, na co to piszę? czasem przez cały tydzień nie biorę pióra napowrót do ręki i nawet nie wiem, czyli ją skończę.“ [1])

W takiem usposobieniu pisana, nic dziwnego, że powieść wyszła słabo, zimno też przyjęta przez czytający ogół. Krytyka zarzuciła jej, i słusznie, rozwlekłość, rozwałkowanie przedmiotu, przeciążenie treści rozprawami filozoficznemi, wreszcie rażące błędy językowe.

Tego ostatniego zarzutu, jakkolwiek jest uzasadniony, nie należy zapewne kłaść na karb wyłączny autora, który w liście do pani Jadwigi Liskowej użala się mocno na niedbalstwo redaktora „Kuryera Polskiego“, który tę powieść drukował i zajmował się wydawnictwem książkowem.

„Co ten Orłowski [2]) — pisze Kaczkowski z żalem — z tym rękopismem porobił, to także jest rzecz, której w innym kraju nie

[1]) z Paryża, z d. 21 maja 1891. Ms. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich.
[2]) Redaktor „Kuryera Polskiego“.

znaleźć. Naprzód, przed rozpoczęciem druku, nie czytawszy powieści, ogłosił prospekt od początku do końca kłamliwy, a jeszcze do tego z taką paskudną fanfaronadą, jakobym ja tę powieść w pocie czoła napisał, a on za nią zapłacił miliony. Potem wydrukował ją, krając rękopism podług miary feuilletonu, a bez żadnego względu na związek ustępów, a z takiemi drukarskiemi błędami, że ja sam się pierwotnego sensu domacać nie mogłem." [1])

W tej przerwie pomiędzy pierwszym a następnymi tomami „Zakliki". napisał Kaczkowski rozprawę „O romantyzmie". Rozprawa ta — jak pisze autor do prof. Liskego w cytowanym powyżej liście — pisana jest „*à l'adresse* naszych historyków literatury, którzy teraz tak wiele piszą o tej epoce, a zwłaszcza o romantycznej poezyi, którą wszakże często sądzą zbyt powierzchownie, a nieraz z rażącą nieznajomością tych czasów, a zatem i tych wpływów, jakie ta literatura wywierała na nasze życie społeczne i polityczne".

Bezpośrednim powodem napisania tej rozprawy była praca profesora Tretiaka, ogłoszona w krakowskim „Świecie" p. t. „O głównych kierunkach poezyi polskiej XIX. wieku". Praca ta nie podobała się Kaczkowskiemu. „Tretiak — pisze do prof. Liskego [2]) — bierze niektóre rzeczy za lekko, a o innych sądzi bardzo powierzchownie, co zresztą uważałem już w jego krytykach; jest w nim jakaś mieszanina tonów rewolucyjnych i wpływów szkoły krakowskiej, a niemasz samodzielności i niezawisłości, dla profesora tak niezbędnej: dlatego uważałem za rzecz potrzebną porobić nad tem niektóre uwagi, które wszakże w swojej całości nie odnoszą się do niego samego."

Jakkolwiek Kaczkowski nie wymienił ani nazwiska autora, którego pracę poddaje krytyce, ani nawet pisma, w którem ona zamieszczona została, to jednak nadało całości ton polemiczny, wypaczający charakter literackiej, samodzielnej rozprawy, a to tem dotkliwiej, że piszący nie mógł się powstrzymać od wycieczek w stronę znienawidzonego stronnictwa „Stańczyków", historyków i krytyków krakowskich.

Przesyłając tę swoją pracę prof. Liskemu, spodziewał się może autor, że znajdzie ona pomieszczenie w „Kwartalniku histo-

---

[1]) List z Paryża, z d. 4 grudnia 1892 r. Ms. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich.

[2]) List z Paryża, z d. 28 stycznia 1891 r. Ze zbiorów Bibl. Ossolińskich, Nr. 4985. Ms.

rycznym, chociaż przypuszczał z góry, że „nie zda się do tego pisma, bo jest za długa, a przytem może zanadto z francuska, to jest za lekko pisana“. Ta „lekkość“ nie jest, zdaniem naszem, jej główną wadą. Przedewszystkiem grzeszy ona owym polemicznym tonem, nadzwyczajną rozwlekłością, nieustannem odbieganiem od przedmiotu, rozpraszaniem się w szczegółach. Jest to istotnie, jak w drugim tytuliku zaznaczono, „literacka gawęda“, w której się mówi wprawdzie o romantyzmie, ale przy tej sposobności o tylu innych rzeczach, że się w nich nieraz główny wątek gubi.

Prof. Liske, sam ścisły badacz i przestrzegający systematyczności w naukowych pracach, musiał poczynić liczne uwagi i zastrzeżenia co do tego artykułu, bo oto czytamy w liście Kaczkowskiego z dnia 4 lutego 1891 r.[1]: „Z moim artykułem „O romantyzmie“ niech Pan sobie nie przysparza kłopotów. Ja nigdy nie byłem literatem z profesyi i nie mam literackich próżności. Jeżelim co kiedy napisał, to zawsze tylko to, co się samo ze mnie wyparło, — a jak'em to komu oddał, tom się nigdy nie troszczył o to, co się z tem stało. Artykuł ten napisałem dlatego, że mnie to nudzi, że my się nie możemy zdobyć na prawdziwą krytykę literacką, jaką mają Niemcy i Francuzi.“

Po śmierci profesora Liskego pisał d. 22 marca 1891 r.[2]) do pozostałej wdowy, w tymże samym przedmiocie: „Mój artykuł „O romantyzmie“ zmienię jak najchętniej, według skazówek, które ś. p. Mąż Pani zostawił, a to nietylko dlatego, że znajdę w tem zadowolenie dla siebie, jeżeli potrafię uszanować jego wolę, ale także i z tego powodu, że my, mieszkający za granicami kraju, mimo tak ożywionych pisemnych i ustnych stosunków, jakie ja utrzymuję z krajem, przecież niejednokrotnie nie całkiem trafnie sprawy krajowe sądzimy.“

Szkoda, że o tej niewątpliwej prawdzie zapomniał Kaczkowski, pisząc „Tekę Nieczui“!

„Ja zresztą — dodaje w tymże liście, — do czego chętnie się Pani przyznaję, nawet u teoretycznych Niemców uchodzę za doktrynera, tak mnie przed dwudziestu kilku laty osądził hr. Belcredi i tak mnie jeszcze niedawno określił dzisiejszy Minister hr. Kalnoky, — mam zatem, nie będąc wcale zarozumiałym, jeszcze o jeden powód więcej do uwzględnienia opinii wytrawnych ludzi, patrzących na sprawy krajowe z bliższej niżeli ja odległości.“

---

[1]) l. c.
[2]) l. c.

W ogóle w tej sprawie Kaczkowski okazywał niezmierną i niezwykłą sobie pojednawczość. Zgadzał się na zmiany i opuszczenia, zgadzał się na zwłokę w ogłoszeniu artykułu. Szło, zdaje się, głównie o ostrą polemikę z krytykami krakowskimi i o ustęp, niezmiernie chwalący Piotra Chmielowskiego. Zdaje się, że profesor Liske uważał tak ową krytykę, jak i pochwały za przesadzone, na co Kaczkowski w liście z Paryża, z dnia 11 lutego 1891 r.[1]) odpowiada:

„Co do Chmielowskiego, to nie potrzebuję Pana zapewniać, że on mi swoją nauką wcale nie imponuje, — nawet i w filozofii ma bałamutne pojęcia... prócz tego grzeszy często zupełnym brakiem smaku estetycznego. Ale Chmielowski w ostatnich czasach bardzo znacznie się podniósł po nad swoje prace dawniejsze i bardzo korzystnie odbija od Tarnowskiego swojem usiłowaniem dojścia do bezstronności, — a to, mojem zdaniem, zasługuje na uznanie, choćby tylko dlatego, aby go zachęcić do dalszego postępowania na tej drodze. Chciałem go trochę podnieść w interesie ogólnym, ale być może, że się tam zakradło trochę subjektywizmu, bo Chmielowski jest jednym z dzisiejszych krytyków, który mnie traktuje bezstronnie: wielu rzeczy po prostu nie rozumie, dla innych całkiem brakuje mu zmysłu, ale widać przynajmniej usiłowania, podczas kiedy inni (z wyjątkiem kilku bezwarunkowych przyjaciół) narażają się nawet na zarzut nieuctwa, aby mnie tylko ile możności obniżyć...“

I potem jeszcze, po śmierci dr. Liskego pisze do jego wdowy[2]): „Co do zmian, albo opuszczeń, to ja na wszystko się godzę, coby zadość czyniło uwagom ś. p. męża Pani: pochwałę Chmielowskiego, jeżeli przesadzona, można złagodzić, a następujący po niej ustęp o krytyce, jeżeli jest zanadto surowy, można w tych częściach surowych opuścić i tylko punktami oznaczyć, że tam coś było. Między nami mówiąc, nie wiem, dlaczegobym miał mieć jakieś względy dla krytyków krakowskich, którzy dla mnie żadnych zgoła względów nie mają, a nawet gdzie tylko mogą, starają się mnie do zera obniżyć.“

Zaznaczywszy, że takie stronnicze krytyki przynoszą szkodę nie tylko jemu, lecz całej literaturze, i że czynienie ustępstw mogłoby być tylko usprawiedliwione w interesie ogólnym i w obec ludzi pewnych przekonań, zaznacza w dalszym ciągu Kaczkowski.

---

[1]) l. c.

[2]) List z Paryża, z dnia 8 kwietnia 1891 r. Ms., l. c.

że to właśnie nie z takimi ludźmi sprawa, „lecz z sektą, która ma sekciarski katechizm i od tego katechizmu dla żadnych względów na krok nie odstępuje“. — Dodaje jednak w końcu, „że nie ma w sobie uporu i chętnie uwzględnia rady ludzi dobrej woli“.

Bądź co bądź owa „gawęda literacka“ o romantyzmie znalazła pomieszczenie w „Gazecie Narodowej“ w 18 wielkich fejletonach [1]. Czy tekst pierwotny uległ jakimkolwiek zmianom, trudno dziś sprawdzić. To pewna, że ustęp o Chmielowskim brzmi niezmiernie pochwalnie.

„Chmielowski — czytamy tam, — najznamienitszy z naszych nowszych krytyków, najznamienitszy nietylko dlatego, że jest najpracowitszy, lecz przedewszystkiem z tego powodu, że ma gruntowne ukształcenie filozoficzne, którego innym brakuje (czytaliśmy przed chwilą w liście do prof. Liskego, że w filozofii ma „bałamutne pojęcia“!), wystąpił pierwszy z krytyką syntetyczną... On „coraz wyżej się wznosi, a sąd jego staje się tem więcej bezstronnym i pewnym“. „Nie chodzi mu ani o miłość własną, ani o interes jakiejś szkółki albo stronnictwa, tylko o prawdę i dobro ogólne. To jest krytyka syntetyczna w najwyższem i najpiękniejniejszem tego słowa znaczeniu, bo ma na celu nie syntezę w duchu jakiejś politycznej, albo socyalnej teoryi, tylko zsumowanie i używotnienie skarbów całego społeczeństwa“.

W obec tej pochwały, czemże są inni krytycy? Oni „nadużywają swojego urzędu do celów ubocznych, leżących po za obrębem pojęć o tem, co jest prawdziwe, co wzniosłe i piękne“, ich „sąd nie zależy od rzeczywistej wartości krytykowanego dzieła, tylko od sympatyi lub antypatyi, jakie krytyk bądź z politycznych, bądź z koteryjnych powodów ma do autora“.

Pisząc tę pochwałę Chmielowskiego i podnosząc jego bezstronność, zapomniał Kaczkowski, co kilka lat przedtem, pod wrażeniem książki „Nasi powieściopisarze“, pisał do Adama Krechowieckiego [2]). Czytamy tam mianowicie:

„Chmielowski zajmuje się tam mną więcej niż innymi i w gruncie rzeczy przychylnie, ale to mi wcale nie przeszkadza powiedzieć, że takiego bigosu pojęć, wyobrażeń i wrażeń podobnośmy w naszej krytyce jeszcze nie mieli. Niejasne a często wcale niezdrowe, przytem zaś wcale nie trzymające się ze sobą pojęcia, są to już dosyć

[1]) „Gazeta Narodowa“ z r. 1891, począwszy od Nr. 130 z dnia 30 maja do Nr. 150 z dnia 23 czerwca.

[2]) List z Paryża, z dnia 27 grudnia 1886 r. Ms

grube występki, na które też są i kary w literackim kodexie; *mais c'est un cas pendable* pisać o rzeczach, których wcale się nie zna, a do tych należą: psychologia, estetyka, emigracya i galicyjskie stosunki. Czasem trzeba sobie oczy przecierać, ażeby uwierzyć, że to istotnie tak stoi wydrukowane. A do tego jeszcze jaka tam zmienność punktów widzenia i jaka chwiejność opinii! Wstrętnie przedmiotowy, bo aż do zaparcia się siebie samego, gdy pisze o Rzewuskim, wysilający się do najwyższego stopnia, ażeby być bezstronnym względem mnie, staje się ślepym panegirystą, gdy pisze o Jeżu, — i kogo sobie wybrał za przedmiot do tego panegiryku? Oto takiego pisarza, który bezwątpienia jest gorącym patriotą, a może i serdecznym człowiekiem, ale który historyi polskiej nie umie, nie zna wcale dzisiejszej Polski, a nadto wszystko nawet nie umie pisać po polsku. Zadziwiającym zaś przykładem, do jakiego stopnia mu brak wszelkiego estetycznego ukształcenia jest zacytowanie dwóch scen z powieści Jeża na dowód jego jenijalności: jedna, w których szlachta, zamiast grać w karty, pluje w sufit o pieniądze, —, druga, w której też przedstawia szlachtę litewską w r. 1831 jako komicznych tchórzów! Nie do uwierzenia, ale tak stoi wydrukowane. Pomimo takich wybryków wysila się w innych miejscach na bezstronność. wysileniem tem wszakże dowodzi, że powołania krytyki wcale nie zna. Albowiem bezstronnym nikt nigdy nie był, — a jeśli się to komu udało, to stał się niczem. bo wyrzekł się własnych przekonań. To też i Chmielowski bezstronnym nie jest, a to, że nim być usiłuje, pożyteczność jego krytyki niezmiernie obniża.

„Chmielowski, wzięty jako naczelny dziś reprezentant postępowej krytyki literackiej, o co widocznie się kusi, wyrządził tą xiążką Tarnowskiemu, jako głównemu reprezentantowi krytyki zachowawczej, nieocenioną przysługę, położył się bowiem tak nizko przy ziemi, że Tarnowski, chociaż także niewielki wzrostem, przy nim wydaje się grenadyerem, Ja mam Tarnowskiego przeciwko sobie, a Chmielowskiego za sobą, ale to także mi nie przeszkadza powiedzieć, że Tarnowski bez porównania swoją missyę krytyczno-literacką lepiej wypełnia, niżeli Chmielowski. Chmielowski ma ukształcenie filozoficzne i pisze poprawnie po polsku, w kwestye badane przez siebie zapuszcza się głębiej, rozumuje logiczniej i tam, gdzie jakieś przekonanie nareszcie z siebie wydusił, wyraża się ściślej; ale literaturę polską zna bardzo niedostatecznie, jej ducha nie zrozumiał, nie zgłębił. ani nawet nie przeczuł, nie ma

żadnych literackich tradycyi i często tak o nich pisze, jak gdyby z jakiejś wyspy do Polski przyjechał. pod względem dobrego smaku, nie otrzymawszy tego daru od natury, stoi na bardzo niskim stopniu ukształcenia, dla niektórych piękności, które cały naród odczuwa, zupełnie brakuje mu zmysłu, praktyki życia wcale nie zna, dla klasyków ma pewne sympatye dlatego, że byli reformatorami, zapominając wcale o tem, że ich całe światło reformatorskie nie miało w sobie duszy polskiej, tylko było żywcem przeniesione z zagranicy, o literaturze romantycznej wcale nie wie, że się urodziła w boleści, a wreszcie całości narodu polskiego nie ma ani w sobie, ani przed sobą, tylko jakieś nieokreślone społeczeństwo od którego nie wie, czego ma żądać i czego się ma po niem spodziewać: oto Chmielowski. Tarnowski nie ma szkolnego ukształcenia filozoficznego, zaczem idzie, że jego wywody nie są ani głębokie, ani ścisłe, ma styl kapryśny, skaczący, niegramatykalny, nierozwijający się logicznie, a przeto uważnego czytelnika niełatwo przekonywujący, ale za to ma szerokie ukształcenie xiążkowe i najpiękniejsze literackie tradycye, ma wychowanie światowe i smak wrodzony i wykształcony, — a chociaż stoi na ciasnem, wyłącznem i w gruncie rzeczy nie-polskiem stanowisku klerykalnem i jest niby zasadniczym stronnikiem Polski etnograficznej bez granic geograficznych, przecież trzebaby być niesprawiedliwym, ażeby tego nie widzieć i nie czuć ze wszystkiego, co mówi i pisze, że ma nie jakieś resztki społeczeństwa polskiego, ale całość polskiego narodu w sercu i w głowie, a jego przyszłość przed sobą. To jest bardzo wielka różnica.

„Na Tarnowskiego zasady nie zgadzam się, a niektóre z nich uważam po prostu za zgubne, na niektóre zapatrywania się Chmielowskiego, dopełniwszy je tem, czego im brakuje i rozszerzywszy w ogóle ich granice, mógłbym się zgodzić, ale to jest kwestya indywidualna: na polu krytyki literackiej, w jej odniesieniu do potrzeb ogólnych, Tarnowski pełniejsze zajmuje miejsce, bo ma przekonania stałe i niewzruszone, broni ich stanowczo i z cywilną odwagą, a przeto stanowi siłę czynną, która powinna była wywołać siłę odporną i stworzyć walkę naturalną, pożyteczną już jako ruch i płodną w pewne wyniki, a dla dalszego rozwoju narodowej intelligencyi niezbędną: Chmielowski zaś, chociaż o to się kusi, tą równoważną siłą przynajmniej dotychczas jeszcze nie jest, bo nie ma stałych i wyrobionych przekonań, stoi na gruncie, tak teoretycznie, jak i w widokach praktycznych, nie określonym dokła-

dnie, a nawet do walki o te przekonania, jakie ma, nie ma ani siły, ani odwagi.“

Również ujemnym jest sąd Kaczkowskiego o Chmielowskiego dziele p. t. „Zarys literatury z ostatnich lat dwudziestu“. „Nie mogłem wyjść z zadziwienia — pisze w jednym z listów [1], — jak krytyk, podobno dziś pierwsze zajmujący miejsce w Warszawie, wprawdzie często jednostronny, nierzadko płytki, a zawsze nie mający dostatecznego uczucia dla prawdziwych piękności, wszelako mimo to wszystko nie tuzinkowy, nie wahał się puścić w obieg tak powierzchownie sklejonej encyklopedyi i nadto jeszcze wydawać w niej sądy o rzeczach, których oczywiście nie zna i nie rozumie. Xiażka ta zresztą bardzo ckliwe na mnie sprawiła wrażenie już samym poziomem inteligencyi i myśli, na którym dziś stoi pierwszy krytyk warszawski. Przypomnijmy sobie, że już przed laty pięćdziesięciu mieliśmy Mochnackiego i Michała Grabowskiego, a dzisiaj mamy tylko Chmielowskiego i Tarnowskiego, jednego zamkniętego w ciasnej chałupce pozytywizmu, a drugiego utopionego w papizmie i oligarchizmie, — a spostrzeżemy z przerażeniem, o wiele pokoleń cofnęliśmy się wstecz od lat pięćdziesięciu. Ale tu powiem coś, czemuby z pewnością przyklasnął Tarnowski, a może nawet i Chmielowski, że do tego opłakanego stanu doprowadziły nas rewolucye. Jestem bowiem zdania, z którem podobno stoję całkiem odosobniony, ale któremu kiedyś przyzna prawdę historya, — a tem zdaniem jest, że jak skoro nie mieliśmy temperamentu Holendrów, aby od czasu rozbiorów pracować z mrówczym spokojem i wytrwałością nad wzbogaceniem naszych narodowych, moralnych i materyalnych zasobów, to spiski były rzeczą nietylko nieunikniona, ale niezbędną, bo bez nich naród nasz nie byłby przeżył całego wieku niewoli, ale doprowadzenie spisków do rewolucyi było za każdym razem częściowem zabójstwem. Nic innego, jak tylko te ustawiczne upusty krwi doprowadziły nas do stanu tej bezsilności moralnej, w jakiej się dziś znajdujemy. Jest to może zapatrywanie się zbyt materyalne, lecz zdaje mi się także prawdziwe, że pomnożenie krwi polskiej, które w czasach spokojnych musi koniecznie nastąpić, podniesie swojego czasu i naszą siłę duchową znów na ten poziom, na który się podnieść musimy, jeżeli chcemy, ażeby się z nami liczono i ażeby się nam uściełiły drogi do lepszej przyszłości.“

---

[1]) do Adama Krechowieckiego z Gastein, z d. 31 maja 1886. Ms.

Zbytecznem byłoby wykazywać, że te jaskrawe sprzeczności w sądach Kaczkowskiego wynikały głównie z jego uprzedzeń do tak zwanej szkoły krakowskiej. Podnosił Chmielowskiego tam, gdzie sądził, że pognębi Tarnowskiego, a w listach prywatnych pierwszego oceniał surowo, drugiemu przyznawał pod wielu względami wyższość. W ten sposób stało się, że owa „bezstronność“, tak podnoszona w Chmielowskim jako wysoka zaleta, okazywała się w innem miejscu powodem „nicości“, obniżeniem wartości krytyki. Raz Chmielowski posiada gruntowne ukształcenie filozoficzne, to znów ma w filozofii bałamutne pojęcia i t. p.

Ta chwiejność opinii, zwłaszcza w obec tonu polemicznego, jaki bądź co bądź ma rozprawa „O romantyzmie“, osłabia wielce wrażenie i wagę tej zresztą interesującej pracy. O istocie romantyzmu nie przynosi ona nic prawie nowego, ale pisana z werwą, oparta na znajomości literatury, zwłaszcza zagranicznej, zwraca pod niejednym względem uwagę, pomimo braku należytego skupienia, trafnością niektórych zdań i poglądów. — Nie jest też ani ścisłą, ani zbyt oryginalną definicya romantyzmu, jako „prądu ducha, mającego na celu wyswobodzenie naturalnego ludzkiego uczucia z narzuconych mu form i formułek, przyprowadzenie go do samowiedzy i oddanie mu najwyższej władzy w poezyi, literaturze i sztuce“. Na podstawie nowszych badań niejedno też możnaby tej rozprawie zarzucić; zważywszy jednak na czas, w którym była pisana, niepodobna jej odmówić literackiej wartości. Tak zresztą w tej pracy, jak i we wszystkiem co wychodziło z pod pióra Kaczkowskiego, jest on przedewszystkiem tendencyjnym polemistą naginającym swoje wywody do powziętych *a priori* zapatrywań czy uprzedzeń. I jeżeli w przytoczonym powyżej liście tak surowo potępił usiłowania dążące do „bezstronności“, to niewątpliwie pisał szczerze, w poczuciu, że sam do takich usiłowań nie jest zdolny, a co najwięcej może tylko czasami „dyplomatycznie“ zdania swe modyfikować, z tą „mentalną restrykcyą“, że powróci do nich w całej pełni, gdy owe dyplomatyczne powody umiarkowania istnieć przestaną. Dowodów na to dostarczają sążniste listy Kaczkowskiego, do rozmaitych osób w rozmaitych czasach pisane, że tu przypomnimy tylko jego zgryźliwe zdanie o Lisickim wypowiedziane przed redaktorem „Gazety Lwowskiej“, a tak bardzo zmodyfikowane w liście do pani Liskowej, o której wiedział, że jest w zażyłości z jego żoną, panią Anną z Mycielskich Lisicką. — To nie przeszkadzało mu powracać potem do pierwotnych, ostrych sądów.

W liście do pani Liskowej [1]) czytamy o Lisickim:

„Jeżeli Pani p. Lisickiego zobaczy, proszę mu powiedzieć, że jestem przejęty szczerem uczuciem wdzięczności dla niego za te kilka słów, któremi w „Kwartalniku“ krótko, ale dobitnie scharakteryzował moralność naszych organizatorów ostatniego Powstania. Ktoby miał odwagę cywilną i napisał o tej moralności całą xiążkę, ten oddałby naszemu społeczeństwu znaczną przysługę, zwłaszcza dziś, kiedy te same żywioły znowu w tym samym duchu zaczynają się ruszać...“ I dalej: „Wszystkie xiążki p. Lisickiego i wszystkie jego artykuły, po różnych pismach porozrzucane, czytałem i mam u siebie, niektóre nawet z adnotacyami na marginesach, jak n. p. xiążka o Helclu... Z p. Lisickim zgadzam się prawie w zupełności na jego zapatrywania na nasze stronnictwa rewolucyjne. Od najmłodszych lat moich byłem zawsze zdania, że Polskę można tylko wypracować, a grać o nią nie wolno. Myśmy o nią wciąż grali, a jak ojcowie przegrali, to synowie się odgrywali: czy może takie postępowanie pochwalić jakikolwiek zdrowy rozsądek? Na to więc zgoda — i mniej więcej na wszystko, co z tego punktu widzenia wynika, i to do tego stopnia, że i mnie także taki bohater nie wzrusza, co nie umiał dla Ojczyzny zrobić nic więcej, jak tylko dać się dla niej powiesić. — Ale nie zgadzam się na jego zapatrywania się na nasze stronnictwa konserwatywne. Myśmy takich stronnictw mieli dosyć po wszystkie czasy, ale żadne z nich nie miało nigdy dosyć odwagi cywilnej, ażeby wytrwać wśród burzy i wytrwać do końca. Każde z nich było okrutnie odważne w czasie spokojnym, ale jak tylko opozycya głowę podniosła, zaczęły się przerzedzać jego szeregi, a jak ruch przeszedł w masy, złożyło broń bez wystrzału.“

Tu następuje długi wywód, mający określić szczegółowo, w czem się Kaczkowski z Lisickim nie zgadza, a zarazem dlaczego był i jest w niezgodzie z programem krakowskiego stronnictwa. Wywód ten, nie przynoszący zresztą nic nowego ponadto, cośmy już mieli sposobność przy innej sposobności zaznaczyć, kończy się takiem oświadczeniem:

„To jednak nie przeszkadza mi przyznać p. Lisickiemu, że ma przekonania, które są jego osobistą własnością, że jego przekonania są głębiej wyrozumowane i silniej poparte, niżeli wielu innych pisarzy konserwatywnych i że je wypowiada nie z interesu,

---

[1]) List do p. Jadwigi Liskowej z dnia 21 maja 1891 r. Zbiór Bibl. Ossolińskich. Ms.

jak wielu innych, tylko z poczucia obowiązku każdego takiego człowieka, który coś wie i ma coś do powiedzenia, — a to nawet u przeciwników zasługuje na szczere uznanie.“

Jakże ten sąd jest dalekim od gromów potępienia, rzucanych na Lisickiego za artykuł o Chłapowskim i od opinii, wypowiadanych o nim w rozmaitych innych listach i zapiskach, opinii, nie nadających się nawet do powtórzenia!

Bezwzględnym natomiast był Kaczkowski admiratorem Elizy Orzeszkowej i jej dzieł, może nie tyle z powodu ich wartości artystycznej, ile z powodu ich tendencyi. Znamiennym pod tym względem jest list jego, pisany z Paryża, d. 22 kwietnia 1896 r., do Zygmunta Sarneckiego. List ten, odzwierciedlający w ogóle zapatrywania Kaczkowskiego, już w ostatnich latach życia, przytaczamy niemal w całości.

Oto co w nim czytamy:

„Nie czytując dzienników polskich codziennie, bo często czasu mi na to nie starczy, a czasem i zdrowie nie dopisuje, dopiero wczoraj dowiedziałem się, że Pani Orzeszkowa jest w Krakowie i że liczni Jej wielbiciele wydali także dla niej biesiadę. Gdybym był się o tem dowiedział zawczasu, byłbym Jej zatelegrafował, wyznając Jej całe moje uwielbienie i najszczerszą sympatyę, jako autorce, która dziś w naszem powieściopisarstwie niezaprzeczenie najpierwsze zajmuje miejsce, — a to nietylko potęgą swojego talentu, ale zarazem duchem przodującym na drogach tych, na których otwierają się dla nas jeszcze jakieś nadzieje. Ponieważ to się nie stało, proszę Pana, jako gospodarza wyżwspomnianej biesiady, abyś był łaskaw zanieść Jej to zapewnienie o mojem dla Niej uwielbieniu, — proszę zaś o to tembardziej, iże biesiada, dla Niej wydana, o ile się mogę tego domyśleć z dzienników, nie zgromadziła starszyzny krakowskiej inteligencyi w takim komplecie, jaki się Jej wzniosłemu i szlachetnemu talentowi należał. Ja się wprawdzie do starszyzny nie liczę, ale za to do starych, może Jej zatem obojętnem nie będzie, jeżeli się dowie, że i między starymi są ludzie, którzy ją z zajęciem czytają, cieszą się szczerze jej powodzeniem i życzą jej i naszej Ojczyźnie, ażeby jeszcze przez drugie ćwierć wieku swoim jenijuszem oświecała te kierunki myśli i ducha, w których nam się lepsza przyszłość uśmiecha. — Powiedziałem powyżej, że należę do starych, ale przecież nie do takich, którzy zamykają oczy na fakta i już niczego się nie mogą nauczyć. Były czasy, w których ci z moich krytyków, co nie bardzo uważnie moje xiążki czytali, obwiniali mnie o pewne złudzenia, a mia-

nowicie o wiarę w to, że tylko ci, co Polskę zgubili, potrafią ją odbudować. Takiej wiary nigdy nie miałem; wiedziano o tem od najdawniejszych czasów właśnie najlepiej w Krakowie, gdziem wówczas przez kilka lat zimę przepędzał i gdzie mi Siemieński co chwila jakąś literacką zarzucał herezyę: ale może byłem winien innego złudzenia. Zdawało mi się bowiem istotnie, że ta demokracya szlachecka, która miała przeszło trzy wieki politycznego żywota za sobą, powinna mieć w sobie także polityczną żywotność, że przeto z niej, w obec arystokracyi, który narodowego sumienia już w sobie nie miała, i w obec ludu, która jeszcze narodowej świadomości w sobie nie obudził, powinien się wyrobić ów stan trzeci, którego nam do wytworzenia naturalnego społecznego ustroju właśnie brakowało, i że od tego trzeciego stanu będziemy mogli oczekiwać zbawienia. Wiarę tę wówczas wielu ludzi ze mną dzieliło, jedni świadomie, drudzy instynktowo — i bardzo być może, że moje ówczesne historyczne powieści powodzenie swoje zawdzięczały właśnie tej idei, pod której przewodem usiłowałem ciągle obudzać narodową świadomość w średnich i niskich warstwach szlacheckich. Nie dziwiłbym się, gdyby jeszcze dziś byli ludzie, którzy dla tej idei mają pewne sympatye: ale ja już z końcem r. 1860, właśnie podczas mego pobytu w Warszawie, przejrzałem jasno, że było to czyste złudzenie i że szlachta — jak mi to zresztą jeszcze w roku 1854 przepowiedział Zygmunt Krasiński — nigdy ze siebie trzeciego stanu nie wytworzy, bo o ile czuje się szlachtą, będzie się także czuła arystokracyą, a o ile się nią czuć nie będzie, przejdzie w szeregi czysto demokratyczne. Odtąd wszystkie objawy widzenie to potwierdzają, a najwidoczniej w Galicyi, gdzie się wytworzyły tak zwane *les classes dirigeantes*, które swoją siłą liczebną zawdzięczają właśnie tym szlacheckim ogonom, i gdzie szlachcic, nie będący ogonem arystokracyi, wcale nie myśli o swojem szlachectwie. W tym widoku myśli zamknęły się nam zatem wszelkie nadzieje — a to tembardziej, ileże arystokracya, która temu korowodowi hetmani, zatraca w sobie coraz bardziej narodowe poczucie. Ażeby zregestrować wszystkie objawy, które stwierdzają tę prawdę, trzebaby chyba napisać drugi tom „Teki Nieczui“, w którym wszelako trudnoby co nowego powiedzieć, bo złe pozostaje zawsze to samo, a tylko się staje coraz jaskrawszem... A kiedy wielcy panowie nie dają ani grosza Ojczyźnie, dlaczegoby miał dla niej jakiekolwiek ponosić ofiary ów szlachcic, który nie ma ani setnej części ich bogactw, a i tak już się wyexpensował na kołpak soboli i żupan złotolity, ażeby miał w czem godnie wystąpić *dans le cortège des*

classes dirigeantes. Gdybyż przynajmniej ekonomicznie kraj podnieśli, toby można na ich niedostatki i wady przymrużyć oczu, tak jak się dobremu ekonomowi przebacza, że na jarmarkach pana udaje, a w domu ciuła mająteczek dla siebie: ale kraj popadł w nędzę pod ich panowaniem, a ich banki i przedsiębiorstwa przemysłowe albo się znajdują w krytycznym stanie bankructwa, albo, bawiąc się lichwą, ledwie że wegetują. Na tym horyzoncie naszego nieba słońce dla nas nie zejdzie. Natomiast pocieszającem jest czytać od kilku miesięcy codziennie w dziennikach całe kolumny nazwisk ubogich ludzi, którzy składają po kilka groszy dla głodem dotkniętej ludności, — a tylko chyba ślepy może nie dojrzeć, choćby tylko z tych dwóch faktów uderzających, gdzie u nas jest serce, gdzie miłość i ludzkość, gdzie rozumienie dla potrzeb społeczeństwa, gdzie wiara w lepszą przyszłość narodu. Te warstwy społeczne ożywiać, oświecać, podnosić, jest niezawodnie zdrowszem, żywotniejszem i więcej obiecującem zadaniem narodowego pisarza, niżeli galwanizować tamtą część społeczeństwa, która już tylko jak próchno świeci światłem bez ciepła, bo jak próchno nie ma w sobie krwi ciepłej w obiegu. Pani Orzeszkowa jest na tej drodze i idzie nią stale, konsekwentnie, nieustraszenie, bez chwiania się, bez omdlewania, bez powątpiewania, od lat przeszło dwudziestu. Dlatego, chociaż niektóre szczegóły toku jej myśli mogą, mojem zdaniem, ulegać dyskussyi, chociaż jej pojęcia nie zawsze dosyć wyraźne przyjmują kontury, chociaż w ogóle jej ideały, mianowicie w chwilach wielkiego ucisku serca i zachmurzonego umysłu, które na nas starszych, wiedzących dobrze, że my już ziszczenia żadnych ideałów nie dożyjemy, tak często spadają, rysują mi się jako sny jeszcze bardzo dalekiej przyszłości, uważam ją jako przodującą tej nowoczesnej literaturze, która jest bezwątpienia bardzo bogatą w znamienite utwory, ale na której są skazy bezmyślnej negacyi i niewczesnego zwątpienia. Inną, również pierwszorzędną, jej zaletą jest to, że jest bezwzględną i bezwarunkową wielbicielką światła. Czytam, co piszą przeciwko temu jej uwielbieniu, ale mnie to nie przekonywa, są to bowiem rozumowania, które datują się jeszcze z czasów de Maistra i cuchną duchem średniowiecznym, a tak mało licują z czasem obecnym, jak karabin magazynowy z muszkietem z XVI. wieku. Zbyteczne rozszerzenie światła ma swoje niedogodności, któż o tem nie wie? ale ogień także wznieca pożary, a mimo to jest niezbędnym żywiołem dla życia ludzkiego. Światło nie produkuje się wedle jakichś zasad albo systemów, *spiritus flat ubi vult;* czasem wybucha wulkanem, a czasem nurtuje

pod ziemią, rozszerzając się powykrzywianymi szlakami: ale błyskawice nie tracą dlatego na swojej jasności, że ich promienie strzelają zygzakiem. Zasada bezwzględnego rozszerzania światła jest uprawnioną nawet w najoświeceńszych narodach, tem więcej zwolenników powinna mieć u nas, którzyśmy upadli brakiem oświaty i tylko oświatą się podnieść możemy, i którzy dziś jeszcze jesteśmy pogrążeni w takiej ciemnocie, że rządzą nami stronnictwa, opierające się na przesądach i obskurantyzmie. Kto woła ciągle: uczcie się i nie ustawajcie ani na chwilę w nabywaniu nauki, ten już tem samem pierwszorzędne zajmuje miejsce pomiędzy duchowymi przewodnikami narodu.“

Nie poprzestając na pośrednictwie Z. Sarneckiego, napisał też Kaczkowski osobno do Orzeszkowej list z wyrazami uznania, na który autorka „Pana Graby“ odpisała z Poniemunia d. 28 lipca 1890 r. [1]) z serdecznem podziękowaniem „mężowi, dla którego oddawna żywi cześć stałą i gorącą“. List jego — dodaje — jest „świadectwem, że praca jej nie jest całkiem marna, skoro zdobyła sobie tak drogocenną sympatyę“. W dalszym ciągu charakteryzuje Orzeszkowa stosunki literackie Warszawy i z tego względu list ten zasługuje na powtórzenie.

„Marzyłam napróżno — pisze — o sympatyi i wzajemnej pomocy, którąby łączyła pracowników pióra. W Warszawie szczupłe kółka pisarzy jednostajnością dążeń i prac lub wspólną gonitwą za najweselszem użyciem życia ściśle zwiazane.

Liczne grono redaktorów, reporterów, sług literackich do robienia wszystkiego od artykułów polit. do noweletek, od filozoficznych bredni do poetycznych potworków — i rauty, knajpki, koleżeńskie wieczorki, flirt i dowcipki. — Listów nie pisują — każdy dla siebie — *self-help*. Zupełna nieobecność entuzyazmu, apatya, u jednych zawiść, u innych pycha. Oto co nas dzieli. Jeden zagrodowy szlachcic powiedział: „jesteśmy jako beczka rozsypanego grochu, którego każde ziarno osobno się toczy, staje i gnije.“

Jest zupełnie samotna. Przyjaciół ma, lecz to ludzie innych zajęć. Z tak zw. piśmiennictwa pięknego nikt nie zbliżył się do niej. Kilku wybitniejszych pisarzy zna, ale mało.

„S i e n k i e w i c z a w towarzystwach spotykałam, lecz nie lubi mnie serdecznie i dał mi tego niejednokrotny, drukowany dowód. Z P r u s e m próbowałam i chciałam zaprzyjaźnić się, bez żadnej z jego strony wzajemności, najlepiej mi poszło z B a ł u c k i m, który

[1]) Zbiory rapperswilskie. Ms.

jest b. miłym i dobrym człowiekiem. Konopnicką b. lubię jako kobietę i admiruję jako poetkę, zupełnie szczerze i serdecznie całujemy się przy każdem spotkaniu, a potem przez całe lata nic wcale o sobie nie wiemy. Świętochowskiego znam dość z bliska i z wielu stron niezmiernie wysoko cenię, ale jest po trochu Bogiem, a po trochu zbyt zrozpaczonym i udręczonym człowiekiem, aby mógł być serdecznym i przyjacielskim kolegą. Z całego naszego piszącego świata najlepszymi i oddawna byli i są dla mnie Jan Karłowicz i Piotr Chmielowski. Oni to jedni czasem mnie odwiedzają, czasem do mnie pisują, u nich jednych, zwłaszcza u pierwszego zasięgam niekiedy rady w czemś, z pisaniem związek mającem — dla nich za to wszystko mam wdzięczność gorącą. Zresztą nikt i nic — gdyby nie stosy listów od wydawców i redaktorów, o powieści i nowelle błagających, mniemaćbym mogła, że jestem w literaturze intruzem nieproszonym, albo i wyklętym.“

Ilekroć jednak Kaczkowski zdołał zapomnieć choć na chwilę o swojej tendencyi i zakorzenionych animozyach do „szkoły krakowskiej“, co się jednak rzadko wydarza, tam umie on wypowiadać sąd sprawiedliwy. Tak n. p. w jednym z listów [1]) pisze:

„Czytam w „Gazecie Lwowskiej“ sprawozdanie z Wystawy malarstwa [2]) p. Leona Pinińskiego. Będzie to zapewne syn mego szkolnego kolegi i przyjaciela, Leonarda Pinińskiego, dawniej z Rokietnicy, później z Grzymałowa, urodzony z Nikorowiczównej, córki Antyma. Z temi obydwiema rodzinami wiązały mnie niegdyś bardzo przyjazne stosunki. Stąd czytam jego sprawozdanie z tem większem zajęciem. Ale ma ono także wartość wewnętrzną, bo widać pisarza, który malarstwo studyował, ma poczucie piękna i usiłuje o każdym przedmiocie mieć własne zdanie. Jest tam myśl, jest życie.“

Po tej sympatycznej i zupełnie słusznej ocenie następuje jednak wnet wycieczka zgryźliwa w stronę Krakowa. Zaczyna mówić o „bazgraninach b. komisarza Rządu narodowego a teraz dr. Maryana Sokołowskiego, którego skórzane frazesy, pozszywane bez ładu z sobą, wyglądają jak stary but połatany. A cóż dopiero — dodaje — powiedzieć o jego, czy podobno W. Dzieduszyckiego, wynalazku rusińskiego malarstwa? To mi przypomina archeologiczne odkrycia J. Łepkowskiego z r. 1852—1853 rzeźby z gipsu

---

[1]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

[2]) Wystawa powszechna 1887 r.

kardynała Fryderyka w Mogilskim kościele, fresków na drzewie w jakimś drewnianym kościółku w Sandeckiem i wałów Trajana w Muszynie, gdzie się znajdują resztki okopów konfederackiego obozu. Warszawskie dzienniki trąbiły wtenczas okrutnie chwałę wielkiego archeologa, aż ktoś bezimienny, a mnie dobrze znany, napisał o tem jeden krótki feuilletonik w „Czasie“ [1]) p. t. „Wielki nieznajomy“ — i odtąd te trąby od razu ucichły.“

Oddając pochwałę wiedzy Leona hr. Pinińskiego w dziedzinie malarstwa, nie zgadza się jednak Kaczkowski z jego twierdzeniem, jakoby powieść historyczna się przeżyła. „Wyczytał to — powiada — w jakiejś pozytywistyczno-demokratycznej krytyce i bez zastanowienia powtórzył. Żadna forma poezyi się nie przeżyła i nigdy nie przeżyje. Co Voltaire o tem powiedział, którego pałac i kościół z napisem: *Voltaire erexit Deo*, przeszłego miesiąca po raz czwarty odwiedzałem w Ferney: *Tous les genres sont bons* i t. d. pozostanie prawdą na wieki. Nie jest winą formy, tylko pisarzy, jeżeli nie umieją dopełnić wszystkich jej warunków. U jednych fantazya zabija historyę, jak to się stało w „Ogniem i mieczem“, u drugich historya zabija fantazyę, jak się może stało w „Kitaju“, ale nie idzie wcale za tem, ażeby ktoś znający dokładnie historyę i mający bogatą fantazyę, nie umiał kiedyś stworzyć z nich całości harmonijnej. Życzyłbym krytykom, ażeby tak, jak Piniński obrazy, badali i rozbierali historyczne powieści, które przecież także są obrazami, a wtedy i powieściopisarze czegośby się od nich nauczyli. Ale u nas jeszcze do tego daleko: Sainte-Beuve i dopieroco zmarły Cuviller-Fleury są to światła, których nawet brzask do nas nie doszedł. Z tego punktu widzenia Piniński jest zajmujący.“

W tymże samym liście znajdujemy słowa pełnego uznania dla Zygmunta Sarneckiego, który podówczas zamieścił w „Kraju“ obszerne sprawozdanie z tejże wystawy Sztuki. „Jest tam także — pisze Kaczkowski — znajomość rzeczy, ale jest jeszcze coś więcej, bo bardzo trafny rzut oka na Matejkę ze stanowiska historyi malarstwa. Umiejętna i sprawiedliwa redukcya Matejki, który nietylko jest anachronizmem, ale nawet jeszcze jako anachronizm fatalnie kuleje, byłaby dobrodziejstwem dla młodszego pokolenia malarzy. Nie wiedziałem o tem, ale dziś jestem przekonany, że potrafiłby to zrobić Sarnecki.“

[1]) Prawdopodobnie sam Kaczkowski, który podówczas pisywał do „Czasu“.

Podjął się był tego zadania, jak wiadomo, Witkiewicz, który jednak swoje ataki przeciw Matejce cofnał z rzadką sumiennością w późniejszem swem dziele o wielkim malarzu.

Mieliśmy już powyżej sposobność zanotować opinię Kaczkowskiego o prof. Tretiaku, wiemy. że jego to właśnie artykuł dał mu powód do napisania rozprawy „O romantyzmie“. wiemy. że dostrzegał w nim nawet jakieś „tony rewolucyjne“. pomieszane z „wpływami szkoły krakowskiej“. Sąd ten jednak o prof. Tretiaku nie zawsze był równie surowy. Oto bowiem, co o nim czytamy w jednym z listów [1]):

„Bardzo mnie zajął artykuł dr. Tretiaka o poezyi po-Mickiewiczowskiej. Jest tam sąd zdrowy i uczciwy, równie mocno. jak korzystnie odbijający od owych krytyk i płytkich i wypaczonych, które wychodzą z pod piór krakowskiej „bandy fałszerzy“. Zdania takie, jak p. Tretiaka, wypowiadałem i ja przed laty trzydziestu w moich powieściach współczesnych, ale wtenczas krytyka demokratyczna, która miała jeszcze władzę dyktatorską. potępiała moje opinie i sądy, a ludzie umiarkowani nie mieli głosu. Dziś czas po temu, aby uderzyć w ten ton środkowy i jedynie rozsądny, który nie upada na twarz przed Słowackim. wołając: że on jest Bogiem! ale zarazem nie dopuszcza. ażeby z Krasińskiego. człowieka chorego, a przytem wielkiego komedyanta (znałem go osobiście i z bliska) robiono proroka. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ażeby p. Tretiak to, co w tym artykule powiedział. a do czego ma oczywiście odpowiednie materyały, rozwiódł w jednym, lub kilku tomach: wykłady takie są w tej właśnie chwili, gdzie bardzo pracowita machina wysila się na to, aby dorastającej młodzieży wpajać fałszywe sądy o naszej literaturze, byłyby nietylko niezbędne, ale są nawet obowiązkiem patryotycznym. Xiążka taka będzie dziś nietylko utworem literackim lub naukowym, ale czynem politycznym.“

Owa krytyka „bandy fałszerzy“, rozpowszechniająca opaczne sądy o literaturze, nieustannie leżała Kaczkowskiemu na sercu. Wracał do tego przedmiotu przy każdej sposobności. I tak n. p. w chwili wyjścia „Olbrachtowych rycerzy“, był bardzo ciekawy wiedzieć, co o tej powieści powie krytyka i publiczność, lecz wnet dodaje [2]): „Co powie Tarnowski, tegom nie ciekawy, zresztą wiem

---

[1]) do Adama Krechowieckiego, z d. 9 grudnia 1885 r. Ms.

[2]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

z góry. Ja dla niego jestem naśladownikiem Rzewuskiego, któremu naśladownictwo się nie udało. Tego zdania, choć niezupełnie, byli przed trzydziestu laty demokratyczni krytycy, którzy pod wpływem teoryi ludowych rzucali do jednego kosza wszystko, co było szlacheckie. Ale jakim sposobem jeszcze dziś można być tego zdania, kiedy już nawet Chmielowski odkrył ogromną dystancyę w zasadach i pojęciach pomiędzy mną i Rzewuskim, tego nie pojmuję. Zresztą, jakie może być podobieństwo pomiędzy formą, wykładem i całym sposobem traktowania przedmiotu n. p. w „Murdelionie“ i w „Soplicy“ i „Listopadzie“, to pozostanie dla mnie także zagadką.“

Jak zwykle w swych listach, tak i w niniejszym zwraca się Kaczkowski do dawnych czasów i kreśli zajmującą opowieść o Rzewuskim, przyczem oczywiście nie zapomina o swej animozyi do Stanisława Tarnowskiego.

„Rzewuski sam — pisze, — kiedym się z nim po raz pierwszy spotkał w r. 1853 w Woli Justowskiej (hr. Kuczkowscy dali wtedy obiad, ażeby nas sprowadzić z sobą), powiedział mi w obec dwudziestu kilku osób: „Winszuję Panu, żeś powieść historyczną posunął naprzód od tego punktu, na którym ja stanąłem: u mnie są tylko czasy i obyczaje, u Pana są charaktery.“

„A Siemieński, który nigdy się nie mógł powstrzymać od uwag złośliwych, dodał półgłosem:

„— I dyalogi.“

„To też Tarnowski — twierdzi dalej autor „Teki Nieczui“ — myli się zupełnie, kiedy w swoich odczytach o Rzewuskim powiada, że w „Listopadzie“ są charaktery. W powieści tej są czasy i obyczaje odmalowane po mistrzowsku, są epizody prawie genialne, jest architektonika, która ma tylko wady bardzo nieznaczne, a której wcale niema w innych jego powieściach: ale bracia Strawińscy są to dwie polityczne idee i dwie obyczajowe tradycye w ciała ludzkie ubrane, ale nie charaktery. Tarnowski tak samo tylko powierzchownie zbadał Rzewuskiego charakter, bo pominął główny powód, dla którego Rzewuski się zmoskwicił i oplugawił w życiu i w xiążkach, a którym była strata majątku. Ja Rzewuskiego znałem bardzo z bliska. Strawiłem z nim kilka tygodni w r. 1853 w Krakowie i znowu drugich kilka tygodni w r. 1856 w Karlsbadzie, i miewałem z nim takie dosadne dysputy, żeśmy się w nich obydwa czasem rozpinali przed sobą do naga. W Rzewuskim było coś, o czem Tarnowski nie wie, to krwawy żal i obrzydzenie przed samym sobą za to, że się zmoskwicił, — a jeszcze do tego bez

materyalnego skutku dla siebie; tego uczucia trudno się było w nim dogrzebać, bo przez fałszywą ambicyę i upór zasłaniał je cynizmem, ale w wyjątkowych razach widać było tę ranę, — a wtedy było coś dantejskiego w jego duchowej postaci."

W dalszym ciągu tego listu zapędza się Kaczkowski w swym ferworze polemicznym tak daleko, że dopatruje się w „Tece Stańczyka" i „Mieszaninach Jarosza Bejły" — identyczności zasad!

To, cośmy przytoczyli z listów Kaczkowskiego, wystarczy chyba aż nadto do ocenienia jego sądów krytycznych, wypowiadanych zawsze pod wpływem zawziętej niechęci do tak zw. „szkoły krakowskiej", Stańczyków, a w szczególności do hr. Stanisława Tarnowskiego. W tych listach przejawia się dopiero w pełni charakter człowieka, z całym jego uporem zawziętością, ale zarazem z niepospolitemi zaletami bujnego umysłu, niezwykłem ukształceniem i wymową, lecz i obfitością słów nierzadko nawet przekraczającą należytą miarę. „Rozpuściłem moje pióro, jak bicz dziadowski", pisze on sam w jednym z listów do pani Jadwigi Liskowej.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia ostatnia Kaczkowskiego powieść, p. t. „Święta Klara". Nie wyszła ona nigdy w wydaniu książkowem, drukowana zaś była, jakto już zaznaczyliśmy, w „Nowej Reformie" w r. 1895.

Powieść to, czy Pamiętnik? Ani jedno, ani drugie a raczej jedno i drugie po części. Wzajemnie sobie szkodzą. Pamiętnik, wpleciony w fabułę powieściową, traci na wartości, a wątek powieści nieraz się gubi we własnych wspomnieniach autora, który, jak dawniej Nieczuja, jest naratorem. Wspomnienia te, odnoszące się zwłaszcza do r. 1846, nie byłyby bez wartości; krótkie, zbyt krótkie sylwetki wybitnych osobistości krakowskich, jak: margrabia Wielopolski kasztelan Wężyk, Jan Mieroszowski, ks. biskup Łętowski, rektor Pijarów ks. Jakubowski, Paweł Popiel, Michał Wiszniewski, A. Z. Helcel, generał Chłopicki i t. d. zwracają uwagę i są interesujące nawet ze względu na opis zewnętrznej ich postaci. Mamy tu zresztą w pierwszych rozdziałach powtórzenie tych samych szczegółów o ruchu z r. 1846, które przedstawiliśmy już bądź na podstawie podań samego Kaczkowskiego, bądź na podstawie aktów wytoczonego mu później procesu karnego. W zobrazowaniu powieściowem przedstawia się to nieco inaczej, w rozmiarach znacznie powiększonych, czy też zabarwionych powieściowo. Powstanie sanockie, a zwłaszcza wyprawa obu Kaczkowskich, ojca i syna, wyglądająca dość mizernie w świetle zeznań samego Zy-

gmunta i aktów sądowych, przedstawia się tu o wiele poważniej. Ojciec wystawia cały oddział ze stu zbrojnych; syn wyrusza z podwodowymi końmi, pakunkami i służbą; ogółem pod bronią staje kilkaset ludzi, aby opanować Sanok. Staczają oni pod Baligrodem formalną bitwę z tłumem rozjuszonych chłopów. Kończy się to wszystko gromadną dezercyą, ucieczką jednych za granicę węgierską, aresztowaniem pozostałych. Wszystko to, opowiedziane przez naocznego świadka i bezpośredniego uczestnika tych wypadków, zarówno jak i szczegóły stosunków szkolnych w Samborze, miałoby niewątpliwą wartość pod piórem historyka, nie powieściopisarza, którego zawsze posądzać się musi o fantazyjne zabarwienie.

Z drugiej strony nie zyskuje bynajmniej na tem połączeniu z historyą fabuła powieściowa, rwąca się nieustannie a obejmująca olbrzymi szmat czasu, od r. 1845 aż do wielkiej wystawy paryskiej w r. 1889 i potem jeszcze. To też mamy tu ciągłe przerwy: mija lat dziesięć, a potem znowu dwanaście, a potem jeszcze dziesięć i tak dalej. Główną bohaterkę powieści, Klarę, zwaną dla jej dobroczynności „świętą", poznajemy w roku 1845 „wschodzącą jak jutrznia na tle salonów krakowskich", tracimy zaś ją z oczu osiwiałą, zgrzybiałą niemal staruszką. Poznajemy ją młodą, pełną energii, rozumu i zacności, a swą urodą i wdziękiem pociągającą za sobą szereg wielbicieli, w rzędzie których zdaje się zrazu stawać i sam autor, posiadłszy zaufanie babci Klary, pani Stolnikowej, i przychylność samej panny. Ale los chciał inaczej. W zawierusze 1846 r. ginie tragiczną śmiercią owa Stolnikowa wśród ruin swego wiejskiego pałacu, a Klara istnym cudem uchodzi z życiem, po przebyciu straszliwych męczarni głodu i lęku, zamknięta w kościele. Wydobywa ją ztamtąd zemdlałą jeden z jej gorących wielbicieli, przebrany za chłopa, Kubuś, młodzieniec majętny i sympatyczny, niegdyś autora kolega szkolny, który też poślubia ocaloną przez siebie Klarę. Autor pozostaje ich obojga wiernym przyjacielem, co pozwala mu opowiadać dalej koleje ich życia, zaiste, tragiczne.

Kubuś miał temperament ognisty, rycerski. Chciał być wszędzie tam, gdzie walczą. Od wzięcia udziału w rewolucyi węgierskiej zdołała powstrzymać go Klara; nie mogła i nie chciała powstrzymywać od udziału w wypadkach 1863 r. Wzięty do niewoli, Kubuś przez lat dziesięć jęczy w kopalniach sybirskich. Pozostawszy sama, Klara oddaje się cała wychowaniu swoich trzech synów. A tu zarazem następuje przełom w jej charakterze i usposobieniu. Dziejami tragicznemi własnej rodziny, a także bolesnemi

własnemi doświadczeniami nauczona, pragnie Klara oddalić od tych synów te wszystkie wpływy, które jej ojca i dziada, a teraz męża przyprawiły o bezskuteczne męczeństwo. Synów więc swoich wychowywała tak, aby ich usposobić do karyery realnej, jeśli nie w kraju, gdzie — jak twierdziła — niema pola dla wyższych zdolności, to po za jego granicami. Najstarszy z nich, Kasper, nie poszedł za wskazówkami matki, pozostał i ożenił się w kraju, pracując na roli i w przemyśle. Ta jego „krnąbrność", zarówno jak i ożenienie się z córką „niepewnego szlachcica", a przytem i rodzaj pracy „rolnika-fabrykanta", jak się Klara z pogardą wyraża, oddaliły jej serce od tego syna, który wszakże — on jeden — stał się najzacniejszym obywatelem. Najmłodszy. Baltazar, wychowany wśród krakowskich „klerykalnych" wpływów, został księdzem, ale nie kapłanem polskim, lecz kosmopolitycznym, zbierającym składki na afrykańskich murzynów i wreszcie opuszczającym kraj jako misyonarz. — Ginie tam śmiercią męczeńską, bez pożytku dla Ojczyzny własnej. Średni z braci, Melchior, służący w wojsku austryackiem. zupełnie się wynarodowił, a uzyskawszy wysokie dyplomatyczne stanowisko i poślubiwszy jakąś hrabiankę czy księżniczkę niemiecką. zapomina wreszcie, że jest Polakiem. Będąc w Paryżu, w jednym z wielkich klubów dopuścił się nawet zniewagi narodu polskiego. w którego obronie stanął pewien emigrant Polak, nazwiskiem Prozor, także już prawie zcudzoziemczony, lecz mający w swej głębi poczucie patryotyczne. Ztąd wyniknął pojedynek, w którym Melchior odnosi ciężką ranę. Wychodzi z niej wprawdzie z życiem, lecz z oszpeconą na zawsze twarzą. To dla Klary staje się stanowczym ciosem. Przekonywa się naraz, że całe jej poświęcenie dla wychowania tych synów było nietylko daremne, ale „występne". Chcąc ich zabezpieczyć od tych „ideałów", które były powodem klęski jej przodków i męża, wystudziła ich serca, pozbawiła uczuć narodowych i popchnęła na drogę zgubnego kosmopolityzmu. Mąż jej, ów dawny Kubuś, nie mógł jej wspierać radą i nadać kierunku temu wychowaniu, był bowiem na Syberyi, a gdy ztamtąd po latach powrócił i osiadł napowrót w swoim, cudem jakimś nieskonfiskowanym majątku, przeciwdziałać nadanemu synom kierunkowi było już zapóźno. Zresztą było to i z tego powodu niemożliwem, że między kochającymi się dotychczas małżonkami zapanowała dysharmonia uczuć i przekonań. Gdy Klara, pod wpływem doznanych ciosów, stała się „realistką", Kubuś, z marzyciela-poety, jakim był za młodu, przetworzył się w filozofa-socyologa, pozostając jednak zawsze wiernym swym patryotycznym

ideałom. Słuchany jest wprawdzie przez synów z należytem poszanowaniem, lecz żadnego na nich nie wywiera wpływu. Z jednym tylko Kasprem, tym „rolnikiem-fabrykantem“, łączy go nić serdeczniejsza. Kubuś zresztą, po swoim powrocie z Syberyi, jest żyjącym trupem, mogącym już tylko, podobnie jak niegdyś Zaklika, rezonować długo i szeroko na temat problemów religijno-patryotycznych i społecznych. — Wkrótce też umiera, pochowany w ziemi swych ojców, którą jednak wdowa, zadłużywszy się na wychowanie synów, zmuszona jest wkrótce sprzedać — żydom.

Brzemię zatem odpowiedzialności za wychowanie synów spada wyłącznie na Klarę, którą, po nieszczęśliwym pojedynku Melchiora, poczynają dręczyć wyrzuty sumienia, nie bardzo w gruncie rzeczy uzasadnione, bo złej intencyi w tem, co czyniła, nigdy nie było, nie mniej jednak dotkliwe.

Stają się one wreszcie tak okrutne, że Klara opuszcza rannego Melchiora, pod opieką żony, i wyjeżdża za granicę. Ma zamiar jechać do Londynu, ale w drodze zmienia swój projekt i zatrzymuje się w Avignonie, gdzie w przystępie rozpaczy chce szukać śmierci w nurtach Rodanu, lecz w końcu, za protekcyą tamtejszego arcybiskupa, wstępuje na resztę życia do klasztoru Klarysek. — Przed śmiercią mogła mieć jednak tę pociechę, że ów nielubiony syn, „rolnik-fabrykant“ Kasper, majątek ojczysty, wraz z grobem Kubusia, zdołał wykupić z rąk żydowskich.

Tendencya tej powieści jest niewątpliwie zacna, mająca na celu wykazanie, że wychowanie synów powinno być przedewszystkiem oparte na gruncie narodowym, że podwaliną tego wychowania ma być wszczepienie rozumnych uczuć patryotycznych: Inaczej kończy się to albo bezużytecznem dla kraju męczeństwem jak Baltazara, albo zupełnie jawnem odszczepieństwem jak Melchiora. Z tych „trzech króli“, będących dumą matki, ocalał tylko najmniej lubiony Kasper, bo trzymał się ziemi i kraju ojczystego.

Dla udowodnienia jednak tej niezaprzeczenie słusznej tezy, autor wybrał sposób niezbyt usprawiedliwiony, a dla społeczeństwa naszego niewątpliwie krzywdzący. Wszak nawet takie postacie, jak Baltazara, wyrzekające się pracy na gruncie ojczystym, a dążące po koronę męczeńską wśród murzynów afrykańskich, należą u nas chyba do bardzo rzadkich, a w porównaniu z takimi kapłanami, którzy poświęcają pracę całego życia, a nawet życie samo dla powierzonych swej pieczy owieczek w kraju własnym, stanowią iście wyjątkowe wypadki. Ci nawet kapłani, którzy czyniąc zadość powołaniu swemu, szli w dalekie kraje, jako misyo-

narze. wracali do Ojczyzny z przepełnioną duszą umiłowaniem dla niej i nigdy nie zapominali o niej.

Cóż dopiero mówić o Melchiorze, któremu służba w obcem wojsku tak wyziębiła dla Ojczyzny serce, że nie wahał się publicznie ciskać obelgami na naród własny? To już typ zgoła w naszem społeczeństwie nieprawdopodobny, a to tembardziej, że tak ów Melchior, jak i Baltazar mieli najszczytniejsze w swych najbliższych przodkach tradycye, które trzymają się duszy tak silnie, że ich kilkoletnie wpływy obce wyrugować z niej nie są zdolne.

Czuł to snadź dobrze sam autor, skoro wprowadził do swej powieści dwa inne typy: Heliodora, który, jakkolwiek długie lata spędził pod obcym sztandarem, stał się jednak w końcu pożytecznym obywatelem kraju, — i owego emigranta Prozora, który, chociaż pozornie wynarodowiony. zadał Melchiorowi ciężki cios w pojedynku, stając w obronie czci narodowej. Ale obie te postacie stoją na bardzo dalekim planie i nie mogą zrównoważyć wrażenia, jakie wywierają pierwszoplanowe typy, ilustrujące całą tendencyę powieści.

Myślą i ręką autora kierowała tu niewątpliwie znana animozya do „klerykalizmu", czy „ultramontanizmu" z jednej. a do „stronnictwa krakowskiego" i „stańczykowskiej szkoły historycznej" z drugiej strony. Nie szczędzi też Kaczkowski i w tej ostatniej swej powieści surowej krytyki atmosferze Krakowa, który wnet po powstaniu stał się „ogniskiem zaślepionej reakcyi", gdzie uważano za „wartogłowów" tych wszystkich, co jeszcze myśleli o Polsce, gdzie utworzono wreszcie szkołę historyczną, uczącą dorastającą młodzież, że „Stanisław August, jurgieltnik obcego mocarstwa, był jednym z najrozumniejszych i najlepszych Polaków, a Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki to warchoły, co Polskę zgubili". — We wpływach tej atmosfery szuka autor powodu zboczeń Melchiora i Baltazara.

Lwów także nie uszedł potępienia. W literaturze pusto było i głucho; miejsca dawniejszych mistrzów i przewodników nie zajął jeszcze nikt. W administracyi kraju pod rządami Namiestnika Alfreda Potockiego i Marszałka Ludwika Wodzickiego „panowała niesłychana nieudolność i nieświadomość właściwych celów". Nie odpowiadali też swemu zadaniu ówcześni: prezes Koła Polskiego i minister dla Galicyi. „Pod rządami takich czterech władców interesami kraju — pisze Kaczkowski, - z których jedni nie umieli, a drudzy nie chcieli nic stworzyć, a na których działały przeważne podówczas wpływy stronnictwa, którego główną poli-

tyczną zasadą były nieruchomość i wyłączne wzmacnianie idei konserwatywnych, cały kraj kisł w sobie, jak woda stojąca".

Te cytaty wystarczą chyba na udowodnienie, że Kaczkowski i w ostatniej tej powieści nie umiał pohamować swych niechęci i uprzedzeń. Ta zbyt jaskrawo występująca animozya wypaczała najlepsze nawet intencye autora, zniewalając go do naciągania przedstawianych wypadków i typów do powziętej z góry tendencyi. z wielką ujmą dla artystycznej strony powieści i powagi krytyk literackich.

ADAM KRECHOWIECKI.

(Dokończenie nastąpi).

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Ciąg dalszy.)

W „Dzisiejszym rycerzu“ wypowiada Baliński swoje zapatrywania na zadanie rycerza-Polaka. Dzisiejszy rycerz — mówi poeta — powstał z głębokiego wpatrzenia się w historyę wszystkich naszych działań związkowych. Galwaniczne środki na nic się nie zdadzą, — bo Ojczyzna nasza, dzięki Bogu, nie jest ani ową istotą tak pozbawioną czucia, że aż sprzecznych w naturze ludzkiej potrzebuje podniecań, ani trupem. Zresztą ruch ciała, ruch zwierzęcy — nie jest życiem. A nam trzeba życia, duchowego życia, trzeba światła — trzeba miłości! W tych słowach przebija się już dążność mistyczna poety, żądanie skierowania uwagi naszej na wewnątrz, rozbudzenia życia duchowego, kontemplacyjnego, który to stan cechuje wszystkich wielkich romantyków, którzy poszli za nauką mistyczną Towiańskiego. W tym czasie Baliński nie należał jeszcze do obozu Towiańskiego, ale się spotkał we Lwowie z jego zapalonym wyznawcą Ludwikiem Nabielakiem, który niezawodnie wpłynął na jego przekonania w tym kierunku, gdyż „Dzisiejszy rycerz“, tchnący mistycznym duchem, powstał w r. 1848 podczas pobytu Balińskiego w Galicyi. Zdaniem Balińskiego, współczesny rycerz nie wywalczy Polski jedynie siłą oręża, drogą rozlewu krwi, bo:

Dziś rycerstwem jest duch boży
I miłością święta wola!

ale przez odrodzenie się w duchu, przez skupienie się w życiu wewnętrznem, przez miłość Ojczyzny, lecz tylko pod znakiem Krzyża, tem godłem prawego chrześcianina; dzisiejszy rycerz powinien wyruszać do walki nie w zbroi żelaza, ale w zbroi cnoty;

Nie żelazną, ani złotą.
Ty się cały okuj — cnotą!
. . . .
Tak od zbroi twego ducha
Niech dokoła jasność bucha.

Myśl ta rozwinięta przypomina myśl Krasińskiego, wypowiedziana w „Psalmie miłości“:

Nie jest czynem rzeź dziecinna,
Nie jest czynem wyniszczenie!
Jedna prawda boska, czynna,
To: przez miłość — przemienienie!

Dalej mówi poeta, że trony stoją tylko na ciemnocie duchów, — dopóki więc panuje powszechna ciemnota dusz, upadek moralny, trony w tych głównych wadach mają podstawę swego bytu:

Walka miecza nadaremna,
Póki w sercach zimno, ciemno!
Nie rozerwiesz wprzód łańcucha,
Aż roztopisz ogniem ducha!

Dalej rozwija poeta myśl, że ciemiężenie ludu, ubezwładnienie jego życia zewnętrznego i wewnętrznego są przyczyną upadku naszego:

Co nas pchnęło do mogiły?
Czy brak broni?... czy brak siły?
Nie! jeno brak ludu woli!
Nie ma boju — nie ma trudu,
Coby złamał wolę ludu!
. . . .
Czapką działa brał Głowacki,
Z dział drewnianych grzmocił Puszet!
Ale wielki duch nasz lacki
Przygasł w sercach, choć nie uszedł.

Poeta wierzy szczerze w odrodzenie narodu przez lud, przez poszanowanie jego woli, jego praw, przez podniesienie go pod względem oświatowym i uświadomienie w kierunku narodowym;

duch bowiem Piastów nie uszedł, ale przygasł w sercach: powstanie dawne lackie męstwo, gdy się cały naród odrodzi w duchu. Wiersz ten nieco szerzej rozbieramy z powodu, że w nim tkwią wyraźne przebłyski mistycyzmu, którego niebawem nasz Baliński stał się jednym z najżarliwszych zwolenników, i jak się przy rozbiorze dzieł jego późniejszych okaże, pozostał nim do końca życia.

Tomik ten spory zamknięty jest prześlicznym wierszem lirycznym „Modlitwa wiosenna“, w którym poeta w formie modlitwy żali się rzewną i pełną smutku skargą przed Bogiem na przykry i tułaczy los swego narodu i bezdomne życie wygnańców. Wiersz ten, ta perełka liryczna wśród niemniej pięknych wielu utworów tego tomiku, przypomina nam przez ten smutek nieukojony i rzewną skargę, pełną tęsknoty za wolnością, przecudny wiersz Słowackiego: „Smutno mi, Boże!“ i Ujejskiego: „Smutno nam, Boże!“, te perełki wśród najpiękniejszych poezyj lirycznych naszej literatury narodowej; wiersz Balińskiego i pod względem piękności wysłowienia i pod względem głębokości uczucia, wypływającego bezpośrednio z głębi zbolałego serca, nie ustępuje dwom pierwszym, nie możemy się więc uchylić od przytoczenia tego wiersza, z opuszczeniem tylko paru ostatnich strof:

Ojcze nasz, Ojcze! znowu dajesz wiosnę,
Znów skarby sypiesz dłonią Twą rozrzutną!
Wszystko dokoła wesołe, radośne —
Ale nam, Ojcze! nam... smutno!

Śnieżne zimowe gdzieś przepadły chmury,
Już niebo żywszą barwą błękitnieje,
Trawka kiełkuje i pnie się do góry —
Z nią razem nasze nadzieje!

Ziemia odżyła — słychać ptasząt piosnki,
Bo zbawczą rosę dały im niebiosy:
Panie! A naszych nadziei pierwiosnki
Czyż jeszcze zwiędną bez rosy?

Zamorska ptactwa skończyła się jazda,
Wraca i zdala już radośnie nuci!
A my tułacze — do swojego gniazda
Czyliż z nas który powróci?

Oto już rzeki, z kajdan uwolnione,
Na cześć swobody szemrzą hymny święte:
Wszystkie już, wszystkie kajdany skruszone,
Ach! tylko nasze nietknięte!

Na te kajdany — och! my już wylali
Tyle łez gorzkich, tyle krwi niewinnej,
Że choć z piekielnej ukute są stali,
Dawnoby pęknąć powinny!

Ale to jarzmo, Ojcze! jest zatrute,
Nie dość, niestety! że nam karki sprzęga!
Nie dość, że dłonie w żelazo zakute —
Lecz jadem serca dosięga!

Ach! nim dosięgnie, nim dojdzie do duszy,
Zapal nam serca! zapal Twojem tchnieniem!
Bo jad niewoli niczem się nie zgłuszy,
Jeno miłości płomieniem!

. . . .

Z Poznania wyjechał Baliński z bratem do Paryża.

ROZDZIAŁ V.

(Paryż. — Kłopoty materyalne i moralne poety. — Stosunki na gruncie paryskim wśród emigracyi. — Towiański. — Krótka charakterystyka jego nauki i wpływ jej na emigrantów. — Baliński jako zwolennik towianizmu. — Wyjazd Balińskiego do Poznania pod koniec 1849 r. dla wydawania czasopisma.)

Przybył tu w pierwszych miesiącach 1849 r., gdyż znany nam jest list do Karola Szajnochy z d. 3 maja 1849 r.[1]), w którym nadmienia, iż 18 kwietnia wysłał z Paryża do niego list, lecz że nie otrzymał jeszcze żadnych nań wiadomości. W początkach pobytu w Paryżu był Baliński bardzo przygnębiony po smutnym rezultacie wypadków z r. 1848, a także skutkiem niepewności położenia, w jakiem się znajdował: troska o przyszłość zakłócała mu spokój duszy. W liście tym pisze Baliński:

„Teraz powiem Ci o sobie — a najprzód, — że gdyby nie ta chęć uwiadomienia Cię jak najprędszego o tym Twoim układzie z Żupańskim (chodziło o układ z Żupańskim w sprawie wydania „Maryny“, dramatu K. Szajnochy; w układzie tym pośredniczył K. Baliński za interwencyą pewnej osoby), to nie brałbym pióra dzisiaj do ręki, tak jakoś czuję się jałowym w sercu i w głowie. Nasz pobyt tutaj jest wciąż bardzo wątpliwy — gdzie się udamy, jeszcześmy nie uradzili. — Ja trzymać się tutaj będę, jak będę mógł najdłużej, boć na sołdata pewnie nie zdam się nikomu.“

---

[1]) Autograf Nr. 2740. Biblioteka Ossolińskich.

Z tych słów wynika, że ta niepewność położenia wpływała głównie z braku odpowiednich funduszów na pobyt w Paryżu, zgryźliwość zaś usposobienia Balińskiego miała inną przyczynę natury moralnej. — Znajdujemy ją we własnych jego dalszych słowach tego listu. „Parę dni temu wyszły „Pisma“ moje. — W „Gazecie Polskiej“ autor „Listów do Ludwisi“ (Ryszard Berwiński), donosząc o feljetonie, tej niby Ludwisi, o rozmaitego rodzaju fatałaszkach, powiada: „Z nowości piśmienniczych pojawiły się tu „Pisma“ Karola Balińskiego, kilkoletniego wygnańca i więźnia, a rozgłośnego między młodzieżą warszawską pisarza. — Baliński, czy przez skromność, czy przez rzadkie u autorów samouznanie, nie chciał wierszom swoim dać z góry nazwy poezyi, jak to sam wypowiedział w przedmowie, gdzie zarazem rzuca przelotny zarys dziesięcioletnich kolei swoich. Są to niejako dzieje całej spiskującej młodzieży warszawskiej.“ — Otóż i koniec recenzyi — i cóż Ty, mój bracie, powiadasz na to samouznanie? Gdybyż ukryty pod pseudonimem recenzent wystąpił jawnie i powiedział — miał słuszność autor, nie nazywając pism swych poezyami, ale tak niby dowcipnie kłuć! — coś jest w tem prawdziwie niemieckiego. — Zdanie szczere, otwarte, choćby najgorsze, zasmuciłoby, ale takby nie zabolało.“ Otóż i drugi istotny powód przygnębienia Karola w tym czasie. Rzeczywiście Berwiński skrzywdził go swoją notatką recenzyjną, z której bije tylko niesmaczna ironia; nie jest ona bowiem recenzyą „Pism“ we właściwem słowa znaczeniu, tylko zwykłą wzmianką o ukazaniu się wierszy Balińskiego, ale wzmianką dotkliwie boleśną, bo zaprawioną ironią, na którą Baliński i jego poezye nie zasługiwały. Fakt ten zabolał go bardzo, bo jego wrażliwa dusza, która tyle przechodziła cierpień w życiu za sprawy narodowe, składając na ołtarzu smutnych dziejów narodu te krwią serca i duszy pisane obrazki poetyczne, będące ich wyrazem, miał zasłużoną nadzieję przychylnego ich przyjęcia, a tymczasem znowu spotkało poetę przykre rozczarowanie, które mu zraniło duszę, już i tak zbolałą tylu niepowodzeniami i cierpieniami osobistemi i swego narodu.

Cierpienia i zawody, zawody i cierpienia — oto smutny i gorżki żywot Karola. Od chwili powrotu z Syberyi żaden trwały uśmiech radości i wesela nie rozjaśnił mu serca, a jeśli pogoda zawitała na chwilę do jego duszy, to po to, by jeszcze boleśniejszymi epizodami i zawodami zatruć mu życie. On, który całe życie poświęcił na usługi Ojczyźnie, na usługi swemu ukochanemu narodowi, nawet w tym kierunku, gdzie oczekiwał uznania nie za

cacka artystyczne, pełne doskonałej finezyi. które oceniać należy tylko z piedestału skończonej sztuki, — ale za utwory, krwią serdeczną pisane i wyrywane jako trwałe tony z tej wielkiej nieprzerwanej skali bolów narodowych — on i w tym względzie doznał zawodu, a co gorsza, spotkał się ze zgryźliwa ironią. — Ale czy zasłużona i sprawiedliwa ironia, ujęta w formę pseudorecenzyi? chyba z cytowanych dotychczas wyjątków można nabrać rzetelnego sądu o niewątpliwym i niepospolitym talencie Balińskiego, którego tak znakomici współcześni. jak Bielowski, Ujejski. Pol. Siemieński. Lenartowicz. Szajnocha, wysoko cenili i zaliczali w poczet poetów narodowych, rokujących wielkie nadzieje. Czy te nadzieje nie zawiodły, to się okaże z całej jego twórczości; teraz zaś musimy się wrócić do jego początkowego życia w Paryżu.

W dalszym toku listu pisze Baliński:

„Ogromnie długo już próżnuję, chciałbym koniecznie kończyć i skończyć moją „Historyę poezyi polskiej". ale jakos tak mi idzie nie skoro, tak czasem wątpię o własnych siłach. że mi wstyd. — Zgromże mnie, ale szczerze — i tak, abym zaraz po przeczytaniu Twej odezwy zamknął się i pisał. A śliczne mam mieć teraz mieszkanie, — tylko nie wiem. jak długo używać go będę, najprzód zupełnie osobne, wśród drzew. krzewów. nad wodą. wśród chóru słowików i nieodstępnych od nich żabeczek... chciałbym bardzo pozostać w tej miłej siedzibie *usque ad finem* naszych dni cierniowych... Brat mój, dzięki Bogu, zdrów i pozdrawia Cię serdecznie i Kornela. Wykrzycz tam Kornela — niech przecie zdobędzie się na kilka słów do mnie. — Czy nie myśli drukować swych „Melodyj hebrajskich"?.. Co Ty tam teraz piszesz? bo mi wciąż się zdaje, że Ty coś piszesz setnego. Czy widujesz się z Polem? ale ale, cała Twoja kampania więzienna tutaj się przeniosła, boć nietylko Kwiatkowski i Henryk Jargułt, ale i Aparat szanowny. — Widziałem ich parę dni temu, troskliwie dopytywali się o Ciebie i ściskają Cię bardzo serdecznie. — Henryk wciąż rzeźbuje arcydzieła — teraz wykańcza Teofila Wiśniowskiego, nadzwyczajnej wielkości popiersie całe, aby z wysokości pomnika. który kiedyś ma być wystawiony, dobrze się wydawało."

Z przytoczonych więc wyjątków tego listu dowiadujemy się, że Baliński pisał w tym czasie „Historyę poezyi polskiej", którą prawdopodobnie rozpoczął pisać jeszcze podczas pobytu we Lwowie, a która jest właściwie historyą literatury polskiej, literatury pięknej. Mieszkanie wynajął sobie Baliński w Paryżu bardzo miłe, słowem, poetyczne. nie mógł jednak zabrać się należycie do pracy literackiej,

gdyż był bardzo przygnębiony i pod wpływem ostatnich wypadków — i niepewności położenia, w jakiem się znajdował. Chociaż miał tu ukochanego brata, przyjaciół i wielu życzliwych znajomych, nic go nie pocieszało, bo przyszłość jego na obczyźnie była niejasna i niepewna z braku odpowiednich funduszów, a do wojska cudzoziemskiego nie zamierzał wstąpić, gdyż stan zdrowia po tylu różnych cierpieniach nie dopisywał; sam bowiem pisze w liście do K. Szajnochy: „na sołdata pewnie nie zdam się nikomu“.

W Paryżu wszedł zaraz do Koła Towiańczyków; ci tworzyli w łonie emigracyi osobną sektę religijną, która stroniła od reszty emigrantów i zamykała się sama w sobie, odbywając posiedzenia w początkach pod przewodnictwem samego mistrza, a po jego wydaleniu pod kierownictwem Mickiewicza. Sam fakt, że Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński byli gorliwymi zwolennikami nauki Towiańskiego wpływał w wysokim stopniu na rozwój idei i pozyskanie coraz to nowych wyznawców; przykład najznakomitszych ludzi pociągał za sobą innych emigrantów. Idea ta nowa natrafiła w owym czasie na grunt podatny. Wielcy bowiem poeci rozmyślali nieustannie nad rozwiązaniem kwestyi niepodległości Polski, głosili jej posłannictwo pośród narodów: głosili, że Polska tylko pod znakiem Chrystusa, pod znakiem Krzyża zwycięży i będzie przodowniczką wszystkim narodom; wołali, że naród ma się odrodzić w duchu, ma się odrodzić moralnie. — Towiański, głosząc swoją naukę, nie przeczył niepodległości Polski, owszem, twierdził, że Polska wkrótce powstanie, uznawał odrodzenie się narodu w duchu przez życie w całem tego słowa znaczeniu kontemplacyjne, pełne pokory, skruchy i miłości. „Siła tylko jest w duchu tem większa, im duch wyższy, czystszy.“ Śliczna zasada, — gdyby Towiański ustrzegł się był całego szeregu błędów kacerskich, w jakie popadł, nie uznawał się za zesłanego przez Boga męża przeznaczenia, niejako Mesyasza, który głosi nową epokę, — gdyby nie wprowadzał sekciarskich zapatrywań o wędrówce dusz, która tchnie duchem braminizmu w zmienionej postaci, wplecionym pozornie w szatę poglądów chrześciańskich. — Stefan Witwicki, który sam był przez pewien czas Towiańczykiem, tak charakteryzuje Towiańskiego w swem dziele p. t. „Towiańszczyzna“:

„Podług mnie, jest to w całem znaczeniu tego wyrazu marzyciel, człowiek ognisty, śmiałej, w mistyczność zwróconej imaginacyi, który sobie najdziwniejsze rzeczy do głowy przypuszcza

w swoich snach na jawie, swoich lataniach po sferach, w swoich niebieskich migdałach rozkochany, przywidzeniami się pasie, rad się zatapia w myśli i obrazy o duchach — samotnik — niepospolitych sił umysłu, poetyckiego zapału, łatwiej i bujnej wymowy. który wpadł w chorobę wizyonerstwa, zagorzalstwa, odchodzenia w pewnym względzie od przytomności, — który wiary świętej, wiary, przez Kościół Apostolski opowiadanej, nie nosząc w sercu, uroił sobie inszą, swoją własną, z rozmaitych z dawnego i nowego świata błędów osnutą, uroił, jak to dziś czyni tylu innych tu i ówdzie wynalazców i przedsiębiorców nowych religii, nigdy z niej sam przed sobą jasnej sprawy nie zdał, — to dopiero mieniący się katolikiem, to zaraz-że z najjawniejszą herezyą występujacy; zwodzący drugich, bo naprzód sam zwiedziony; budzący w pewnych entuzyastach wiarę, bo sam wierzący. — „Nic dziwnego, że Mickiewicz uznał w nim posłańca Bożego, gdyż — jak sam pisze w liście do generała Skrzyneckiego, z Paryża do Brukseli — w grudniu 1840 r. miał w dzień biały widzenie.“ — „Widziałem — pisze Mickiewicz — człowieka, z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie po błocie i mgle: i czułem, że ten człowiek wiezie wielkość — wielkie rzeczy!“ A przedtem jeszcze na uczcie pamiętnej improwizacyą, poczuwszy się w niezwykłym zapale ducha, przepowiedział, że jeśli Bóg zlituje się i zechce wrócić zbłąkanych ze złych dróg, które do niczego nie doprowadzą, to przyśle człowieka, który będzie prawem żywem, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami. Tym mężem przeznaczenia uznał teraz Mickiewicz odrazu Towiańskiego tembardziej, że i okoliczności, wśród których przybył Towiański do Paryża były analogiczne z okolicznościami męża, którego Mickiewicz widział w swej wizyi na jawie. Dalej, uznanie przez Towiańskiego liczby 44, którą Mickiewicz w najwyższym zapale i natchnieniu swej improwizacyi wypowiedział, za błogosławioną, pod którą mąż przeznaczenia (niby sam Towiański) już odebrał rozkaz najwyższy, aby siłą nowej łaski odebrać berło duchowi złego, duchowi ciemności ziemi, skłaniało Adama do przyjęcia nowej, pełnej chaotycznych myśli nauki; wreszcie i stosunki naówczas, wśród emigracyi panujące, mogły przyczynić się poniekąd do rozwoju nowej idei, mianowicie te ciągłe niesnaski i zacięte walki przekonań pomiędzy stronnictwami emigracyjnemi: Mickiewicz bowiem czuł się powołanym do przewodzenia stronnictwom, te jednak nie chciały uznać jego misyi, na nowem zaś polu, mianowany przez Towiańskiego wodzem, mógł niepodzielnie kierować opinią; tę trzecią rzekomą przyczynę roz-

woju towianizmu szeroko Gołembiowski[1], który, przyznać należy, w zarzutach przeciwko Mickiewiczowi posunął się zadaleko. Niektórzy jednak, jak Słowacki. Baliński, uniknęli błędów, które tkwiły w nowej nauce Towiańskiego. a przyjęli z niej tylko strony dodatnie. to jest życie kontemplacyjne, jednak polegające nie na bezczynnem skupianiu się w samym sobie i ascetycznej pobożności, ale na pogłębianiu się moralnem, połączonem z pracą duchową.

W Paryżu zabawił Baliński w roku 1849 tylko przez szereg miesięcy. W grudniu bowiem powrócił nazad do Poznania, celem wydawania tygodnika p. t. „Krzyż a Miecz“; plan wydawania tego pisma powziął jeszcze w Galicyi wspólnie z Karolem Szajnochą, Ujejskim i Lenartowiczem.

ROZDZIAŁ VI.

(Czasopismo „Krzyż a Miecz“. — Powrót do Paryża. — Poematy: „Grosz wdowi“, „Myśli serdeczne“, „Śpiewakowi Mohorta“, przekład Kalderona, „Kochankowie nieba“, „Mądrość polska“, „Męczeństwo Zbawiciela“. — Powrót do kraju w r. 1863. — Zgon Balińskiego we Lwowie.)

Pierwszy numer ukazał się dnia 1 stycznia 1850 r., pod firmą E. Estkowskiego. jako redaktora. a wypełniany jest prawie wyłącznie artykułami Balińskiego, który tu najwybitniej skreślił swoje *credo* polityczne, dotyczące przyszłości Polski. We wszystkich jego artykułach przebija się ton messyaniczno-apostolski, przejęty duchem mistycznej nauki Towiańskiego, z wykluczeniem jednak zasadniczych jej błędów, których nie uniknęli inni wyznawcy. Oto niektóre wyjątki z naczelnego artykułu pierwszego numeru tego pisma[2]), charakteryzujące dosadnie jego przekonania:

„O! zaprawdę, zaprawdę, nigdzie na zewnątrz Polski nas nie ma! Ona jest, jak królestwo boże, tylko w piersiach naszych, tylko w sercach naszych, tylko w duszach naszych, nigdzie indziej!“ A w dalszym toku tego wstępnego artykułu mówi: „Dwojaka śmierć ciąży nad narodami. Jedna, gdy naród zboczył z drogi, wytkniętej mu przez Opatrzność, nie zmarnowawszy w sobie do szczętu ducha bożego, to jest ukrytej w nim myśli bożej — jest śmierć polityczna, śmierć powierzchowna, śmierć ciała narodowego. Taką śmiercią umarła dawna Polska, — po takiej śmierci jest jeszcze zmartwychwstanie. gdy naród wróci na drogę, z której zboczył. Druga

[1]) Gołębiowski:
[2]) „Krzyż a Miecz“. Poznań 1850.

śmierć — stokroć od pierwszej okropniejsza, bo już nie doczesna. ale wieczna — przychodzi wtenczas, gdy naród wypiera się swego posłannictwa, wyrzeka się ducha dla rozkoszy ziemskich, dla dobra materyalnego, i obojętnie patrzy na rdzę, trawiącą jego istotę narodową. Taka śmierć jest duchową, samobójczą, — taką śmiercią umarł naród Izraela, — po takiej śmierci nie ma już zmartwychwstania — i taka właśnie grozi nam: bo raz jeszcze powtarzamy: są skazy, są plamy na naszym duchu narodowym. Wytępić te skazy i plamy, podnieść i ożywić ducha polskiego, przypomnieć i ciągle przypominać narodowi jego święte posłannictwo, — czuwać nad każdym jego krokiem, — ostrzegać go o przepaściach. znajdujących się na jego drodze. — przeciąć szerzącą się zarazę, — przegniłe lub gnijące gałęzie ojczystego drzewa odciąć moralnym mieczem potępienia i spalić klątwą publicznego sądu — oto jest cel naszego pisma.“

Za posłannictwo Polski uważa Baliński wprowadzenie prawdy Chrystusowej w życie, w stosunki rodzinne, towarzyskie i narodowe, — nie ma to być bezczynna, ascetyczna wiara, lecz wszystkie czyny i uczynki w obrębie życia domowego, towarzyskiego i narodowego powinny być dokonane pod godłem Krzyża, w imię Chrystusa, słowem. poczynane z Bogiem i kończone z Bogiem: życie to, pełne głębokiej i prawdziwej religijności, ma być życiem pracy i poświęcenia dla Polski. ale jeszcze pod znakiem ewangelii Chrystusa, gdyż właśnie w tym kierunku płynie posłannictwo Polski, ona ma szczepić i rozkrzewić ideę nauki Chrystusowej wśród pogańskich i sekciarskich narodów. ona przynieść i rozszerzyć światło wśród ciemności, czyli bezbożności narodów.

Powstania upadły, gdyż z świętem natchnieniem poczęte, jako sprawy boskie, kończone były po ludzku, poniewolniczemu: kapitulacyą. układami, ugodą, choć przecie nie może ostać się ugoda między niewolnikiem a ciemięzcami, którzy panują w krajach ciemności i nie dopuszczają światła Polski. Polacy, jako chrześcianie, mają za godło tylko Krzyż, który jest miłością dla wszystkiego, co czyste. boże, nieśmiertelne, mieczem zaś dla wszystkiego, co brudne, podłe i zgniłe...

„Słabi jesteśmy na siłach — mówi dalej Baliński. — wyznajemy to otwarcie: wielka konstelacya narodowych geniuszy zamierzchła gdzieś nad Sekwaną, albo raczej świeci sama sobie, — niech im Bóg przebaczy, że o nas zapomnieli.“ Z tego ostatniego ustępu dowiadujemy się najwyraźniej, że Baliński, lubo był już zwolennikiem towianizmu, nie uznawał życia bezczynnego, ograni-

czonego tylko do pogłębiania się w samym sobie, do zastanawiania się tylko nad samym sobą w kierunku udoskonalenia się wewnętrznego, moralnego. Nie podzielał postępowania naszych wieszczów, którzy idąc za błędną nauką Towiańskiego, porzucili nawet złotostrunną harfę poezyi, jaką obdarzył ich Bóg, i dał im misyę, by w dniach niedoli — jak trąba jerychońska lud Izraela — budzili z odrętwienia swój naród znękany i wskazywali mu drogi do odrodzenia i wolności.

Wszystkie naczelne, a w przeważnej części i kronikarskie artykuły są pióra Balińskiego, z wyjątkiem paru, które napisał Karol Libelt, redagujący współcześnie „Dziennik Polski" w Poznaniu; wszystkie prawie tchną duchem messyaniczno-mistycznym. O artykułach, jak „Posłannictwo Polski", „Wstęp do historyi poezyi polskiej", „Kronika poezyi polskiej", „Żywotna myśl narodu", „Mądrość świata", „Ułan polski" (Maurycy Gosławski), „Dzisiejsze boje" i „Prowincye Polski", możemy z całą stanowczością twierdzić, że wyszły z pod pióra Balińskiego. Dla należytej iluminacyi myśli i przekonań poety przytoczymy z niektórych tych artykułów wyjątki: w Posłannictwie Polski" powiada:

„Szlachta polska powinna była tak spoić i zbratać się z resztą narodu, jak Litwa zbratała się i spoiła z Polską, powinna była nauczyć ludzi, czem jest małżeństwo jednostek, powinna była pokazać ludzkości, czem jest małżeństwo narodów." W dalszym ciągu oskarżenie to szlachty występuje coraz wyraźniej: „Szlachta polska porzuciła drogę, wytkniętą jej przez chrześcianizm od chwili urodzin naszego narodu, porzuciła ze świadomością tego, co czyni, i poszła całkiem przeciwną. W niewolę zakuwając braci i rodzonych i przyrodnich, zaparła się Boga, zaparła się całej swojej przyszłości, na chrześcianizmie opartej, zadała fałsz tej przyszłości. Popełniając tę zbrodnię Kaina, zabiła na długo Ojczyznę, którą dotąd przedstawiała, zabiła sama siebie, zabiła polskość swoją, bo polskość a chrześcianizm — to jedno. Od tej chwili przezornej świetności Polska szlachecka maleje, słabieje i nikczemnieje: i nie mogło być inaczej. Odtąd patrząc w historyę naszą, to ból serdeczny przejmuje duszę. Są tam jeszcze czyny świetne, ale to już pojedynczych osób, nie ogółu, i to coraz i coraz rzadsze...... Migają tam jeszcze od czasu do czasu boje zwycięskie, ale już po większej części nie za Polskę, nie dla wiary. Szlachta polska już nie polska, już nawet sama w sobie rozdzielona, walczy iście drudzy Normandowie, szuka sobie królestewek, księstewek, państewek udzielnych, sprzedaje władzę królewską, sprzedaje nakoniec Ojczy-

znę przez publiczną licytacyę, a król polski bierze część lwią w tym handlu bezbożnym. Jednem słowem z Polski, którą przyjęli przy chrzcie jako pole zasługi, jako drogę do Boga, i która dotąd niczem innem nie jest, cóż zrobili? Kawał ziemi. ogołoconej ze wszelkiej świętości, kram przekupni na wzór obcych krajów, aż nakoniec przyszli do ostatniego bluźnierstwa, mówiąc: „Polska. to złoto!"

Przykra i bolesna to skarga. a jednak prawdziwa. On sam. potomek znakomitego rodu szlacheckiego. potomek wojewodów i kasztelanów, zasłużonych względem Ojczyzny, nie waha się rzucić szlachcie publicznie słowa oskarżenia, słowa przykrej prawdy, bo on nie patrzał przez pryzmat miłości i zaślepienia na tradycyjną przeszłość szlachecką, lecz okazał się surowym, bezstronnym sędzią wad naszych: gdy widział zło, godne potępienia potępiał je otwarcie, bez ogródek, co widział dobrego w przeszłości, uznawał je z uwielbieniem. Wolność i niepodległość Polski. to nie są jeszcze cele narodu, co wypływa z idei jego posłannictwa, lecz są tylko środki, tylko narzędzia do ukrytej w nas myśli bożej: bez tych jednak środków nie ma Polski, a bez Polski nie ma zbawienia dla nas i dla świata; celem naszym ostatecznym. to najwyższe uduchownienie się, uzacnienie, zbliżenie się do ideału doskonałości, czyli jednem słowem. urzeczywistnienie ewangelii i rozkrzewienie jej wśród innych pogańskich i kacerskich narodów, których celem wspólnym jest najwyższa doskonałość i uszlachetnienie ducha: oto ostateczny cel idei posłannictwa Polski. którą Baliński jasno i zrozumiale wypowiada.

W cytatach „Wstępu do historyi poezyi polskiej" poznamy zapatrywania Balińskiego na zadania poetów i poezyi. Oto, co mówi poeta:

„Święta wiara, ta religijność polskiego ducha, najsilniej odbita w poezyi. Ależ bo poezya nasza, to nie zabawka, nie wymysł, nie sztuka, nie umiejętność nawet, ale krew nasza. duch nasz. żywioł nasz, treść natury naszej. Kto nie lubi poezyi, ten pewno Polski nie kocha. ten pewno nie jest Polakiem, choćby się nawet na naszej ziemi urodził. Polak pieśnią uczy się kochać Boga i Ojczyznę, z pieśnią w ustach idzie na bój śmiertelny, pieśń ziomkom swoim na pamiątkę rzuca z szubienicy, pieśnią daje braciom ostatnie ziemskie „do widzenia". Polak bez poezyi, to kwiat bez woni. ptak bez skrzydeł, dzień bez słońca. Poezya. to najgłówniejsza cecha naszej polskości; poezya, to podstawa, to fundament narodowości naszej. Toż kiedy nasi prawdziwie narodowi śpiewacy

zaczeli śpiewać, to serca dziwnie się w nas rozradowały, coś w nas odmłodniało, nowe jakieś życie w nas wstąpiło, tylko że z początku nie mogliśmy dociec. dlaczego tak mocno wzruszeni jesteśmy; po długiem dopiero rozmyślaniu rozwiązalismy zagadkę tego ich czarodziejstwa, a tą zagadką jest: że pieśni swoje wydobywali z serca... U nas literatura, a właściwiej mówiąc poezya, jest w ścisłym związku z życiem narodu, jest dopełnieniem i wyjasnieniem narodowego życia. Zjawiska w niej powstające, są zwiastunami zmian, w życiu politycznem zajść mających, jakby swe znaki ogniste, w których lud nasz czyta przyszłość swoją. Widzą to wrogowie nasi, dlatego też w nich dla narodowych śpiewaków nie ma przebaczenia.“

Tak pojmuje Baliński szczytną misyę poezyi, bo on sam wcielał w nią te ideały, bo tymi ideałami oddycha cała nasza poezya romantyczna. Zgodnie z duchem i kierunkiem romantyzmu uważa poeta jako główny czynnik, decydujący o przyszłości — lud, i wypowiada tu swoje przekonania. Cóż zostało — mówi — z dawnej Polski? — oto prawdziwa jej treść, istota i jądro narodu — lud, czyli Polska gminna. ale w niewoli! Toż kiedy w chwili potrzeby, my „panowie odrzychłopscy“ — jak nas słusznie Birkowski nazywał — zeszliśmy do ich chat, gdzie wprzód nigdy w życiu nie zajrzeliśmy — chyba po pieniądze, albo z groźbą kary, — i gdy, jak nam reformatorzy francuscy kazali, wzywaliśmy ich do powstania; a za to przyrzekaliśmy im grunt na własność, — gdy do tych. których wczoraj uważaliśmy za bydlęta, przyszliśmy z otwartemi rękoma i zaczęliśmy ich całować, to lud wziął nas za judaszów. Nasze uściski nie rozgrzały go, bo były sztuczne, zimne, wymuszone potrzebą, — i on też pozostał zimnym, bo nie wierzył. bo nie mógł wierzyć!“ — Poeta nie obwinia bynajmniej ludu za rok 1846, gdyż wie, jakie okoliczności złożyły się na ten smutny w dziejach ludu dramat. Mówi o jego bohaterskich czynach pod Racławicami, Stoczkiem, a o świeżych w Poznańskiem. — „Mój Boże! czyż to już zapomnieliście cudów, których dokazywał, a jednak krew to świeża na waszych łanach, może nawet jeszcze nie wsiąkła do głębokości skiby, którą wasz pług kraje obojętnie! Ten bluźni. ten kłamie bezczelnie, kto powiada, że lud poznański w roku 1848 bił się za własność gruntu, którą mu obiecano. To fałsz, sromotny fałsz! — Lud poznański wiedział doskonale, że walczy za wiarę ojców, wiedział doskonale, że poganów ma za sobą; poszedł na działa pod przewodem Krzyża i walczył nie jak najemnik, nie jak żołdak, ale jak chrześciański rycerz, bo był nim rzeczywiście. — A pod Środą? czy i tego nie pamiętacie, kiedy

wrogi otoczyły go dokoła i zagroziły, że go w pień wytną, jeśli się nie rozejdzie do domów, to cóż na to odpowiedział ten lud wielki, w którego nasi mędrcy nie wierzą? Wyrzekł słowa, przy których najwyższa starego świata retoryka blednieje i niknie, słowa, które w kamień życie wlać były powinny, — słowa najwyższej ziemskiej mądrości, bo najwyższej miłości: „Będziemy się bić, będziemy się bić, bo ginąc za Polskę, zbawimy dusze nasze!“ Kto po takich słowach nie wierzy w lud polski, kto po takim czynie nie uderzy się w piersi i nie powie z pokorą: zgrzeszyłem przeciw tobie, bracie rodzony, ale teraz czuję, jak maluczkim jestem przed tobą, — kto tego wszystkiego nie uczyni, ten nie ma Boga w sercu, ten nie Polak! — Do braci więc, i tylko do braci idźmy z całem sercem, z całą duszą, bo bez nich jesteśmy niczem!“

Taka jest miłość i wiara Balińskiego w lud, te cnoty wszczepiła w serce ludu w dziecięcym jeszcze wieku piastunka a w późniejszym rozwinęła i skrystalizowała na dnie jego zacnej duszy poezya romantyczna.

Dr. Jan Mirwiński.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

Leon Wasilewski: „Kresy wschodnie“.

(Warszawa 1917 Kraków. Towarzystwo wydawnicze w Warszawie.)

Wysunięte na plan pierwszy w dzisiejszej wojnie prawo t. zw. samookreślenia się narodów z zabezpieczeniem swobodnego rozwoju mniejszości narodowych, ma pierwszorzędne i doniosłe znaczenie dla ziem wschodnich dawnej Rzplitej, gdzie żywioł polski, najbardziej zróżniczkowany pod względem ekonomicznym, jako stojący na najwyższym stopniu kultury, dawniej przodującą odgrywał rolę, dziś zagrożony większością liczebną czy Białorusinów, czy Ukraińców, ze względu na swą przeszłość dziejową, siłę kulturalną i ekonomiczną, ważną w przyszłości odegrać ma rolę we wschodnich ziemiach Polski. Kreśląc dziejową przeszłość wschodnich kresów Polski (Litwy i Białorusi, Podlasia i Chełmszczyzny, Galicyi wschodniej i Ukrainy), stosunek ich do Rzplitej i misyę Polski rozpatruje autor — doskonały znawca tych stosunków — dzieje budzenia się Litwy, Białorusi i Ukrainy, i podaje genezę wyczerpującą separatyzmu tych narodowości.

L i t w a i B i a ł a R u ś, zwana „urzędownie“ „krajem północno-zachodnim“, nie stanowią j e d n e g o obszaru etnograficznego, lecz k i l k a terytoryów, w których obszary litewski i białoruski zajmują największe części, wśród których jednak poważnymi są też odcinki ł o t e w s k i, r u s k i i p o l s k i. Złączone z Polską Wielkie Księstwo Litewskie drogą unij, których impulsem była wspólna obrona przed Zakonem, Tatarami i Moskwą, stało się terenem dla polskiego osadnictwa, które jako rze-

mieślnicza ludność osiadało po miastach litewskich, lub w charakterze oficyalistów lub dzierżawców przenosiło się w te strony. Dwiema drogami wzrastał tu żywioł polski; przez polskie osadnictwo i polszczenie się magnackich rodów ruskich, lub zruszczonych litewskich, lgnących do wyższej polskiej kultury. Po unii lubelskiej polski żywioł sięgnął w odległe strony Smoleńska i Witebska, polonizowały się miasta i szlachta, a po r. 1696 język polski wypiera zupełnie urzędową białoruszczyznę w sądach i urzędach litewskich.

W epoce porozbiorowej Litwa wykazuje najintenzywniejszą działalność kulturalną i narodową, w czasie gdy wileński Uniwersytet oddziaływuje na całą Polskę, zkąd wychodzą najwybitniejsi przedstawiciele polskiej nauki. Polonizacya Litwy dochodzi w pierwszej połowie XIX. wieku do najwiêksrzego rozkwitu, a powstania listopadowe i styczniowe znajdują tu czynnych przedstawicieli nietylko wśród szlachty i duchowieństwa, ale wśród ludu na Litwie i Żmudzi (Łukaszunas Bitis i inni).

Po rozbiorach Polski i zniszczeniu jej państwowości występuje państwowość rossyjska do walki z polskością na Litwie i Białej Rusi, początkowo słabo, po upadku powstań z całą siłą. Następuje russyfikacya Litwy przez zniesienie unii kościelnej (1839), sprowadzenie rossyjskich urzędników, stworzenie większej własności rossyjskiej i wydanie zakazu nabywania ziemi osobom „polskiego pochodzenia“. Zgnębiona przez Murawiewa polskość represyami, sekwestracyami polskich majątków i deportacyą najlepszych jednostek, nie zanika, lecz cofa się w zacisze domowe, a ostoją jej w czasach ucisku jest Kościół katolicki. Katolicyzm i polskość stają się pojęciami identycznemi, a mimo ucisku proces polonizacyi trwa w dalszym ciągu wśród Białorusinów-katolików. To też po zniesieniu niektórych zarządzeń, krępujących rozwój kultury polskiej na Litwie i Białej Rusi, w 1905 r. życie polskie tych ziem — choć na pozór wyglądało, iż zamarło — żywszem uderza tętnem.

W sześciu guberniach Litwy i Białej Rusi prawdziwy panuje chaos pod względem narodowości i wyznania. Prócz wyznań prawosławnego (zwyż 5 milionów wyznawców) i katolickiego (zwyż 3 miliony) najpoważniejszą grupę reprezentują Żydzi (około $1\frac{1}{2}$ miliona), nieliczni staro-obrzędowcy (około 180.000), protestanci (około 150.000) i Mahometanie (15.000). Pod względem narodowym najliczniejsi Białorusini, Litwini, Polacy, Rossyanie, Rusini, Łotysze; Niemców zaledwie 0·3%. Liczbę ogólną Polaków przyjąć można na półtora miliona: zajmują oni zwartą masą trzy powiaty grodzieńskiej gubernii (sokulski, białostocki i bialski), tworzą wyspy zwarte w miastach i koło miast (Wilno, Kowno, Mińsk), ponadto rozsiani są w licznych zaściankach

szlacheckich i występują jako właściciele większej i średniej własności ziemskiej. Najsilniejszą więc ekonomicznie i najbardziej zróżniczkowaną na Litwie i Białej Rusi jest narodowość polska.

Charakterystyczną rzeczą. iż piśmiennictwo litewskie zawdzięcza swój początek inicyatywie niemieckiej, a siedziba jego leży poza Litwą właściwą, w Królewcu. Początki skromne i mają charakter kościelny. Lecz nawet i te początki (katechizm litewski, wydany w Królewcu 1545 r.) napotykają na bierność litewskiego ludu. Cała produkcya druków litewskich w XVI. wieku wynosi 26, w XVII. w. 33. w XVIII. w. dochodzi do liczby 113. I pierwsi „narodowcy" litewscy XIX. w., jak Wołonczewski, piszą po litewsku i po polsku, a wydawnictwa litewskie ograniczają się w latach 1847—1862 do kalendarzy W. Iwińskiego, zamieszczających wiadomości wszelkiego rodzaju i utwory poetyczne i nowelistyczne pierwszych pisarzy litewskich. Po stłumieniu styczniowego powstania, w którem walczyły litewskie i żmudzkie oddziały, używające komendy litewskiej, rząd rossyjski zabronił 1865 r. na Litwie wydawnictw, drukowanych łacińskiemi czcionkami. Równocześnie rząd rossyjski forytuje język litewski, zakłada dla Litwinów gimnazyum w Maryampolu, seminaryum dla kształcenia ludowych nauczycieli w Wejwerach i gwarantuje język litewski w ludowych szkołach Suwalszczyzny. Wytwarza się inteligencya litewska, wykarmiona kulturą rossyjską, przepojona nienawiścią ku „panom" polskim. Powstają litewskie kółka młodzieży na Uniwersytetach w Moskwie i Petersburgu, pojawia się wśród młodszego pokolenia inteligencyi litewskiej dażność do samodzielności Litwy. Lecz rozwój piśmiennictwa litewskiego krępuje zakaz drukowania czcionkami łacińskiemi, choć elementarze, modlitewniki i kalendarze drukują się dla ludu litewskiego w Tylży i przemycane rozchodzą się po Litwie. W Ragnecie — gdy mimo starań Litwinów zakazu z r. 1865 rząd nie cofnął — powstaje pierwsze pismo litewskie „Jutrzenka". które, choć istniało krótko (1883—1886), sprawę odrodzenia Litwy popchnęło znacznie naprzód. Zniesienie zakazu z r. 1865, wywołane klęskami wojny z Japonią, i wolność druku czcionkami łacińskiemi kurczy produkcyę litewską w Tylży. a przenosi ją do Wilna i Petersburga. Powstaje literatura ludowa, prasa peryodyczna, stowarzyszenia („Towarzystwo naukowe litewskie"), wytwarzają się partye polityczne, ścierające się z sobą dość gwałtownie (klerykalna, postępowa, socyalistyczna). Choć literatura litewska bardzo uboga, brak jej zdolniejszych pisarzy (Maironis), teatr w zalążku, lecz słynny „Kongres narodowy" w Wilnie (listopad 1905), obesłany przez wszystkie partye i stronnictwa litewskie, stanął na gruncie autonomii

Litwy z Sejmem w Wilnie i przyłączenia gubernii suwalskiej do Litwy. Uchwały tego kongresu miały jednak znaczenie platoniczne, lecz wysunęły się teraz na czoło litewskiego narodu żywioły klerykalne i szowinistyczne, podejmując akcyę antypolską. Żywioł litewski, zwłaszcza na kresach, znajduje się w położeniu niepomyślnem i trudnem, co stwierdza jeden z przywódców litewskiego ruchu ks. Tumas, stwierdzając szybki postęp polonizacyi wśród litewskich rodzin. Ośrodkiem walki jest Wilno, leżąc faktycznie po za terenem etnograficznie litewskim, gdzie procent Litwinów znikomy. Przewaga polska w „stolicy Litwy“ jest źródłem wycieczek antypolskich Litwinów, usiłujących narzucić Wilnianom, iż nie są Polakami, lecz „Litwinami, mówiącymi po polsku“.

Lecz również ruch białoruski zwraca się ze swemi aspiracyami do Wilna. Zainteresowanie się białoruską ludową pieśnią romantyków polskich (Mickiewicz) wytworzyło po r. 1830 literaturę lokalną polsko-białoruską, mającą charakter czysto prowincyonalny. Działają tu autorzy, piszący po polsku i białorusku, szlachta polska, osiadła w tej ziemi, jak Barszczewski, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Wł. Syrokomla, Korotyński. Dla celów propagandy rewolucyjnej zjawia się „Hutorka“, pisemko, wydawane w białoruskim języku przez Kalinowskiego, jednego z wodzów styczniowego powstania. Po roku 1905 budzi się ruch ludowy narodowo-białoruski, żądający autonomii Białej Rusi z Sejmem w Wilnie, reformy agrarnej, języka białoruskiego w szkołach. W roku 1906 powstają pierwsze pisemka białoruskie („Nasza Dola“ w Wilnie, „Nasza Niwa“, „Biełarus“), drukowane czcionkami rossyjskiemi i polskiemi. Powstają pierwsze broszurki popularne, krótka historya Białej Rusi, kalendarze. Lecz ruch białoruski, bardzo słaby, ulega wpływom kultur polskiej i rossyjskiej, wskutek czego przeważnie Białorusini obrządku rzym.-kat. przyznają się do narodowości polskiej, prawosławni zaś do rossyjskiej. Skromne nad wyraz piśmiennictwo białoruskie ustępuje nawet ubogiej literaturze litewskiej, a mało zindywidualizowany żywioł białoruski (przeważnie chłopi, brak inteligencyi), nie mając oparcia ani we własnej kulturze, ani tradycyi, rozwinąć się samodzielnie nie może.

Żywioł polski na Litwie i Białej Rusi, po 1863 r., cofnięty w szranki prywatnego życia, pozbawiony prasy, produkcyi książkowej i teatru, skupił swe siły około prywatnego nauczania i samokształcenia o charakterze patryotyczno-religijnym. Po zniknięciu krępujących go węzłów, w r. 1905 powstają na nowo polskie dzienniki („Kuryer Litewski“ w Wilnie) i przed wybuchem obecnej wojny prasa polska na Litwie posiadała 20 organów polskich, produkcya książkowa polska

wzrosła znaczniej, niż litewska i białoruska, powstają towarzystwa oświatowe i kulturalne („Oświata“ w Wilnie i „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“), teatr, Sokoły, Kółka rolnicze i t. p. Wilno staje się centrem ruchu narodowego polskiego, zataczającego coraz szersze kręgi na Litwie i Białej Rusi, a posłowie do Dumy tworzą odrębną reprezentacyę polską, jako „Koło poselskie Litwy i Rusi“.

* * *

W dziejach martyrologii polskiej osobny rozdział posiada ziemia podlaska i Chełmszczyzna. Podlasie od 1569 r. stanowi część integralną Korony, po rozbiorach wchodzi w skład Księstwa Warszawskiego; Chełmszczyzna w zaraniu dziejów część Chrobacyi, później przedmiot walk polsko-ruskich, od XIV. w. przynależy do Polski. Dziś większa część Podlasia wchodzi w skład Królestwa Polskiego (gub. Siedlecka i Suwalska), część przynależy do Litwy (gub. Grodzieńska). Żywioł tu przeważnie polski, bo osadnictwo polskie sięga tu jeszcze XV. wieku. Chełmszczyzna posiada zaludnienie mięszane (polsko-ruskie), gdzie jednak żywioł katolicki waha się między 81% (pow. krasnostawski), a 35% (pow. hrubieszowski), w powiatach więc bardzo mięszanych wynosi więc najmniej trzecią część ludności. Na Podlasiu i w Chełmszczyźnie, dzięki wzajemnemu oddziaływaniu Polaków na Rusinów (n. p. w małżeństwach), duchowieństwo unickie i warstwy wykształceńsze uważały się za Polaków; masy chłopskie unickie do połowy XIX. w. uważały się za ruskie i — rzecz charakterystyczna — w czasie największego tępienia Unii przez rząd rossyjski i ucisku Polaków około 1880 r., wśród warstw chłopskich daje się zauważyć szybki proces polonizacyi. Po zniesieniu bowiem Unii lud wiejski, nie chcąc być prawosławnym, przyjmuje katolicyzm i staje się polskim.

Dzieje męczeństwa Unitów podlaskich, powszechnie znane, nosz charakter walki obronnej o wiarę i polskość. Lud wiejski manifestacyjnie śpiewa: „Jeszcze Polska nie zginęła“ (w kościele łosickim), w zaburzeniach biorą udział wybitny kobiety, a „oporni“ nie wahali się bić organistów, nie chcących grać na organach (n. p. w Zaszczynie), nawet odbierać życie sobie i rodzinie całej, by nie przyjąć tylko prawosławia (Koniuszewski w Horbowie). Po zniesieniu Unii prawosławne cerkwie świeciły pustką, lud brał śluby w Częstochowie, nawet jeździł do Krakowa dla uzyskania pociech religijnych. Katolicyzm identyfikował się z polskością, jak na Białej Rusi, a po ukazie tolerancyjnym 1905 r. prawosławiu zagroziło niebezpieczeństwo, iż cerkwie

i duchowieństwo prawosławne nie będą miały racyi bytu, gdyż masowo lud przechodził na katolicyzm. Powrót masowy Unitów na katolicyzm był przyczyną projektu biskupa chełmskiego Eulogiusza w r. 1909, oderwania Chełmszczyzny od Królestwa i stworzenia z niej nowej gubernii. Choć wykrojono sztucznie gubernię chełmską, w dziesięciu jej powiatach nigdzie prawosławna ludność (głównie rossyjscy osadnicy, sprowadzeni przez rząd) nie wynosiła więcej, jak 47% ludności najwyżej (hrubieszowskie), w czterech powiatach zaledwie nawet (3·6%, 5·9%, 7·6%, 9·5%) według fałszywej statystyki rossyjskiej. Trzecia Duma rossyjska wyodrębnienie Chełmszczyzny, konieczne dla wzmocnienia tam prawosławia i pozyskania operacyjnego punktu w zdobyciu Galicyi, uchwaliła — i 1912 r. gubernia nowa zaczęła swój krótki żywot, przerwany ewakuacyą pośpieszną i zajęciem jej przez Państwa centralne. Charakterystycznem, że ruchu ukraińskiego w ziemi tej nie było nigdy, a najwybitniejszymi russyfikatorami za epoki carskiej byli w Chełmszczyźnie najwybitniejsi działacze ukraińscy, jak Kulisz, Kuziemski i Popiel.

* * *

Terenem najzaciętszej walki narodowościowej Polaków z Rusinami jest Galicya wschodnia, gdzie obudzone narodowe życie ukraińskie w pierwszej połowie XIX. wieku zatacza szersze kręgi, płynie szerszem korytem. Do połowy XIX. wieku inteligencya ruska Galicyi wschodniej używa jako mowy potocznej języka polskiego: o aspiracyach odrębności nie ma mowy. Dopiero Marcyan Szaszkiewicz wraz z Hołowackim i Wagilewiczem, przejęci odrodzeniem się narodowem Słowian węgierskich, zawiązują tajne uniwersyteckie stowarzyszenie na wzór organizacyj polskich, celem pracowania dla ludu ruskiego i propagują używanie języka ludowego w życiu potocznem. Tak powstaje „Rusałka Dnistrowaja“ (1837), która wywołała szereg prześladowań wśród twórców ukraińskiego ruchu, przedwcześnie złamała życie prześladowanego Szaszkiewicza (zmarł w 32 r. życia), ale dla odrodzenia narodowego ruskiego ma pierwszorzędne znaczenie. Gubernator Galicyi hr. Stadion w myśl zasady „*divide et impera*“ wyzyskuje nowy ruch dla celów rządowych, do szachowania Polaków. „Hołowna Ruska Rada“ zw. Świętojurska, licząca w swem gronie przeważnie duchowieństwo, wysuwa swój plan polityczny, żądający przyłączenia wschodniej Galicyi do Rusi węgierskiej, zapewnienia praw językowi ruskiemu w szkole i urzędzie. Powstaje „Zorja Hałycka“, „Dom Narodny“, stowarzyszenia kulturalne i oświatowe ruskie.

Lecz wrogie stanowisko „Hołownej Rady“ wobec Polaków, jej serwilizm, kierunek antydemokratyczny są powodem, iż cały szereg wybitnych ruskich jednostek odwraca się od niej (n. p. Wagilewicz) i przechodzi na stałe do obozu polskiego. „Hołowna Rada“, mająca na celu ciasny interes duchowieństwa ruskiego i jego przywilejów, nie uwzględniając ludu i nie pracując nad nim, 1851 r. rozpada się, powodując wprowadzenie niemieckiego języka w gimnazyach wschodnio-galicyjskich, jako wykładowego, dopóki „ruski język nie dojrzeje“.

Przechód wojsk rossyjskich w pomoc Austryi przeciw Węgrom, urok potęgi rossyjskiego imperyum, misya Lebedyńcowa (1864), werbującego Rusinów na czynowników do Chełmszczyzny, wywołuje skonsolidowanie stronnictwa „moskalofilskiego“ (staroruskiego), głoszącego, że Rusini i Rossyanie stanowią jeden naród (1866). Przeciw temu kierunkowi występują narodowcy z programem uświadamiania ludu przez popularne wydawnictwa. Tak powstaje „Proświta“ (1868), przeciw której starorusini zakładają konkurencyjne „Towarzystwo im. Michała Kaczkowskiego“. Przychodzi do zaciętej rywalizacyi między obu kierunkami; gdy 1874 r. w gimnazyum akademickiem we Lwowie wprowadzono język wykładowy ruski, partya „staroruska“ z nienawiści do języka ludowego posyła swe dzieci do gimnazyum niemieckiego lub polskiego.

Partya „ukraińska“, wziąwszy rozbrat ze stronnictwem „staroruskiem“ pod wpływem kijowskiego kierunku prof. Antonowicza, zawiera pakt z Polakami, pragnąc pracować w zgodzie z większością polską. Wyrzekając się radykalizmu, oświadcza gotowość popierania polskich konserwatystów za koncesye, celem ukraińskiej partyi jest zdławienie starorusinów. Ugoda ta przynosi szereg zdobyczy kulturalno-ekonomicznych Rusinom, jak szereg mandatów poselskich, uznanie urzędowe fonetycznej pisowni, nowe ruskie szkoły średnie i towarzystwo ubezpieczeń „Dnister“. W myśl warunków ugody powstaje katedra historyi z językiem wykładowym ruskim we Lwowie, którą obejmuje prof. M. Hruszewski, uczeń Antonowicza.

Przyjazd p. Hruszewskiego (1894) przemienia zupełnie stosunek Rusinów do Polaków. Ruch wydawniczy ruski wzrasta, odradza się „Towarzystwo naukowe im. T. Szewczenki, występuje szereg wykształconych i pracowitych uczonych, jak I. Franko. M. Pawlik. Lecz równocześnie kierunek radykalny występuje silniej, walka przeciw Polakom i polskiemu stanowi posiadania przybiera formy ostre, której objawem krwawe walki na lwowskim Uniwersytecie, mord namiestnika hr. A. Potockiego, śmierć Kocki (1910).

Lecz żywioł polski w Galicyi wschodniej, wskutek kolonizacyi Mazurów i wzrostu przemysłu naftowego w drugiej połowie XIX. w., stale wzrasta. Gdy w r. 1880 ludność polska Galicyi wschodniej wynosiła 28%, w r. 1910 doszła cyfra jej do 39·7%. Ludność ruska przestaje się polszczyć masowo, polonizacyi ulegają tylko jednostki, a ruch ukraiński, stłumiony pod zaborem rossyjskim, szuka ekspanzyi w Galicyi wschodniej, gdzie również żywioł polski, gnębiony w Królestwie i Poznańskiem, któremu zachodnia Galicya za szczupła, obrać musiał Galicyę wschodnią za teren swej działalności.

* * *

Ukraina do połowy XIX. wieku ulegała dwom kulturom; po lewym brzegu Dniepru przeważał wpływ rossyjski, po prawym polski. Językiem potocznym inteligencyi był język polski i rossyjski; język ludowy nie obcym był tej inteligencyi, wychowanej na wsi, bo uczyła się ona ludowej mowy, poznawała podania i wierzenia szerokich mas, zaznajamiała się z cudnemi, melancholijnemi pieśniami ludowemi. Mowa ludowa nadawała się do wierszów żartobliwych i utworów humorystycznych: to też wielkie zainteresowanie obudziła I. Kotlarewskiego trawestacya „Eneidy“ (1798), utworu humorystycznego. Założony (1805) Uniwersytet w Charkowie, skupił siły polskie i rossyjskie, a liberalne poglądy wywołały potrzebę gromadzenia płodów twórczości ludowej Ukrainy. Pierwszym, który zapoczatkował tę pracę, był Polak Z. Chodakowski, a opisy przyrody bujnej ukraińskiej (szkoła ukraińska: Malczewski, Goszczyński, Zaleski) budzą na Ukrainie dążność do odrodzenia narodowości, podobnie, jak u Słowian południowych.

Charkowska szkoła ukraińska (Kwitka-Osnowianeńko) i pisarze doby przedszewczenkowskiej (Gogol) są faktycznie pisarzami rossyjskimi o sympatyach ukraińskich. Dopiero zjawienie się poety T. Szewczenki, który w swych poezyach wyśpiewał tęsknotę i cierpienia ukraińskiego ludu, a zarazem jego marzenia wolnościowe, pchnęło literaturę ukraińską na nowe tory. „Kobzar“ (1840) i inne utwory Szewczenki („Hajdamaki“) przyjęto owacyjnie na Ukrainie. Działalność na Uniwersytecie kijowskim Kostomarowa, historyka, i Kuliszą, przy współudziale Polaków (Świdziński, Kulikowski, Grabowski), oddziaływuje na ukształtowanie się poglądów narodowo-politycznych pierwszych działaczy. Powstaje „Bractwo Cyrylo-Metodyjskie“, organizacya tajna, której celem jest zniesienie poddaństwa ludu i federacyi wszechsłowiańskiej pod panowaniem cesarza rossyjskiego. Lecz zadenuncyowane „Bractwo“ (1847) rozwiązano, Kosto-

marow i Kulisz zostali aresztowani. Szewczenko zasłany do Orska a później Nowopietrowskoj, a pogrom „Bractwa Cyrylo-Metodyjskiego“ spowodował zastój ukraińskiego ruchu na przeciąg ćwierci wieku.

Ruch ukraiński przenosi się teraz do Galicyi, a emigranci z pod rossyjskiego zaboru zakładają we Lwowie drukarnię (1872), podstawę bytu „Towarzystwa naukowego im. T. Szewczenki“. Stosunki Galicyi wschodniej z Ukrainą zacieśniają się coraz bardziej, a również pod rossyjskim zaborem rozwijają się przez ekspedycyę naukową „Towarzystwa geograficznego“ w Petersburgu do prawobrzeżnej Ukrainy w celu gromadzenia materyałów geograficznych, statystycznych i etnograficznych, której kierownikiem był Paweł Czubiński, autor hymnu „Szcze ne wmerła Ukraina“. Stworzenie w Kijowie oddziału „Towarzystwa geograficznego“ przyczyniło się do spotęgowania badań ukrainoznawczych, uprawianych w języku rossyjskim.

Rozwój ruchu ukraińskiego w Galicyi i ujawniające się wśród ukraińskiej młodzieży skłonności do socyalizmu, wywołują zakaz druku ukraińskich książek w państwie rossyjskiem (1876). Produkcya książkowa Ukraińców przenosi się do Galicyi, gdzie wychodzą dzieła Michała Staryckiego, A. Rudczenki (Panas Myrnyj) i inn. Scena ukraińska, której zabroniono działać na terenie Ukrainy, organizuje przedstawienia w cesarstwie rossyjskiem. Teatr ten Ukraińców na obczyźnie jest nieraz pobudką do powrotu na łono narodowości. Złagodnienie cenzury wobec ukraińskich rękopisów u schyłku XIX. w., wielka manifestacya narodowa, jaką było odsłonięcie pomnika Kotlarewskiego w Połtawie (1903), na którem byli goście z Galicyi, potęgują rozwój idei ukraińskiej. „Towarzystwo filantropijne dla wydawania tanich i pożytecznych książek“ (od 1896 roku w Petersburgu) działa w języku ukraińskim. Rozwijają twórczość pisarską Borys Hryńczenko, poeta, dramaturg i popularyzator, Michał Kociubiński, belletrysta, Wynnyczenko i inni.

Po wojnie rossyjsko-japońskiej powstaje (1906) „Towarzystwo im. Szewczenki“ w Kijowie, skupiające naukowych pracowników tej ziemi. Powstają w szeregu miast pisma ukraińskie (Kijów, Połtawa, Jekaterynosław, Charków, Mohylów), są próby wprowadzenia do wykładów uniwersyteckich języka ukraińskiego (Hruszewski w Odessie, Sumcow w Charkowie). Produkcya wydawnicza Ukraińców zajmuje w Rossyi ósme miejsce (Polacy drugie); lecz na żądanie administracyi rossyjskiej próby wykładów po ukraińsku zostały przerwane, a trzecia Duma rossyjska wygłasza zasadę, iż Ukraińcy i Białorusini są Rossyanami. Lecz dzięki produkcyi książkowej rośnie inteligencya ukraińska,

która jednak nietylko kulturalnie, ale politycznie i narodowo pozostała dotąd rossyjską. Nie ma tu dążności separatyzmu narodowego, jak w Galicyi, a Ukraińcy rossyjscy, stojąc na gruncie państwowości rossyjskiej, po za prawem obywatelstwa języka ukraińskiego w szkole i urzędzie, zrzekali się marzeń o niepodległości politycznej. W tem leży zasadnicza różnica Ukraińców rossyjskich a galicyjskich. Wprawdzie rewolucyjny kierunek Dmytra Doncowa propaguje ideę oderwania Ukrainy od Rossyi i stworzenia niepodległego państwa, lecz kierunek ten, głoszony na emigracyi przez „Związek wyzwolenia Ukrainy", nie posiadał oparcia wśród inteligencyi i mas ukraińskich, które w patryotyzmie rossyjskim nie ustąpiły w chwili wybuchu wojny Rossyanom.

* * *

„Kresy wschodnie" p. L. Wasilewskiego ujmują całość stosunków ziem litewsko-ruskich i wyczerpująco informują o kwestyach separatyzmów litewskiego, ukraińskiego i białoruskiego, które dziejowy Sfinks po rewolucyi rossyjskiej wyprowadził na światło dzienne. Jak się stosunki te ułożą na kresowych ziemiach polskich, to zagadka najbliższej przyszłości doniosłego znaczenia dla społeczeństwa polskiego. Koniecznem więc poznać podłoże separatystycznych dążności kresowych narodów Rzplitej, dla ułożenia wspólnego w przyszłości sąsiedzkiego pożycia.

Dr. Mieczysław Gawlik.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".